



PRACE
DRAMATYCZNE
J. S. JASIŃSKIEGO.

Za pozwoleniem Cenzury Rządowej.





Scena X.

J. P. Dobrzańska / w roli Ludenuty, w kómedii: *Il y hor /*
nie moznaby wiedziec ? -

Tom VIII Prae: Drama: J. S. Jasinskiego

Egz. archiwalny IBL

PRACE
DRAMATYCZNE

TLUMACZONE I ORYGINALNE

J. S. JASIŃSKIEGO

A. D. T. W.

Tom VII. INSTYTUT
BADAŃ LITERACYJNYCH

Biblioteka
ul. Nowy Świat No.
57-58 Warszawa

WARSZAWA.

Tel. 26-66-63, 26-52-51
26-31 w

1838.

SPIS SZTUK

W TOMIE SIÓDMYM ZAWARTYCH.

1. *Kuzynek, czyli Korespondencja*, Komedja w jednym akcie 1
2. *Lektorka, czyli Pustota Młodzika*, Komedja w dwóch aktach 53
3. *Wybór*, Komedja w jednym akcie 198
4. *Mąż po śmierci*, Komedja w jednym akcie 222



KUZYNEK

CZYLI

KORESPONDENCJA

KOMEDIA

W JEDNYM AKCIE.

z francuzkiego

PP. Emile, Arago i Alexandre.

TLUMACZONA.



GRANA PIERWSZY RAZ

W DAWNYM

TEATRZE ROZMAITOSCI

dnia 16 Lipca 1832 roku.

O S O B Y.

HRABIA DE NEUBOURG,	JP. <i>Szymanowski.</i>
AMELJA, jego żona	JPi. <i>Moszyńska.</i>
PAULINA, siostra Amelji,	JPa. <i>Zulińska.</i>
FRYDERYK DE MORNAC, ku- zyn Amelji i Pauliny, oficer,	JP. <i>Jasiński.</i>
ZOSIA, córka ogrodnika,	JPa. <i>Werowska.</i>

Scena we wsi Pana de Neubourg.

KUZYNEK

CZYLI

KOESPONDENCJA.

(Scena wystawia część ogrodu zamkniętego murem. W głębi małe drzewiczki zielone. Po prawej pawilon.)

SCENA I.

PAULINA, AMELJA.

A M E L J A.

Wszystko każe mi się domyślać, że mąż mój zatrzymał się w drodze... Mniemałam, zwracając w tę stronę naszą przechadzkę, że go spotkamy; ale interessa spóźniły jego powrót bez wątpienia o kilka godzin.

P A U L I N A.

Niecierpliwość bardzo pochlebna dla męża 15 letniego.

A M E L J A.

Kochana Paulino, Pan de Neubourg godzien całego mojego przywiązania; tak dobry, tak

szczerzy, wesoly, sposób myślenia przedziwny.

P A U L I N A.

W cierpliwości czerpiesz twoje szczęście... to bardzo dobrze; ale powiedz mi Ameljo, czyli czasem, kiedy jesteś samą, nie żalujesz tego biednego Fryderyka?

A M E L J A.

Może on nie uczyniłby mię tak szczęśliwą.

P A U L I N A.

Z przyczyny swojego trzpiotostwa... Ah i ja się tego obawiałam!... Przypominam sobie jeszcze jego pożegnanie. »Kuzynko!« rzekł do ciebie, podnosząc swoje wąsy, »wyjeżdżam do armiji; honor i powinność wzywają mię... będę ci wiernym, ale gdybyś ty miłość moję zdradziła!... mam doskonałe pistolety,« ah zdradziłam mimowolnie, »i zdrada twoja nie długoby śmierć moją poprzedziła!« Pomimo tego, poszłaś za męża, i odwazyłaś się nawet uwiadomić go o tém!...

A M E L J A.

Ja niebardzo wierzę tym wielkim rozpaczom miłosnym.

P A U L I N A.

Żołnierz... ten się zabija za jedno tak, albo nie.

A M E L J A.

Prócz tego, powinnością moją było dać mu poznać powody, które mię nakłoniły do przyjęcia ręki Pana de Neubourg; sama tylko mogłam go uwiadomić, że umierająca matka w rozpacz, zostawiając nas same, bez majątku, bez opieki; błagała abym z jej ręki przyjęła przewodnika, wsparcie, całą przyszłość moją. Ten list był pierwszym i ostatnim który odebrał odemnie; z początku, wyznam ci, milczenie jego czyniło mię niespokojną... Ale, rozważywszy dobrze, przekonałam się, że gniew i złość nie dozwoliły mu odpisać na mój list aż do tego czasu.

P A U L I N A.

Ha, kiedy tak, więc nie twoja wina, jeżeli się wydarzył jaki nieszczęsny wypadek.

S C E N A II.

AMELJA, PAULINA, ZOSIA. (*w biegną z prawej*)

Z O S I A.

Panno, pan... Przebaczcie mi Paniel...

A M E L J A.

Cóż to jest?

1*

Z O S I A.

Nowina!... wielka nowina! on jest tam...
przyjechał konno... ah to on niezawodnie!

P A U L I N A.

Pan de Neubourg?

A M E L J A.

Moj mąż?

Z O S I A.

Ehęm! coś lepszego... Patrzcie panie, wi-
dzicie, zsiada z konia, możnaby go wziąć za
młodego poczytyjona.

P A U L I N A.

O Nieba! Fryderyk!

A M E L J A.

Fryderyk!

Z O S I A.

Tak, tak, on... przyjeżdża nie uwiadomiwszy
o tem. (*n. s.*) To co się nazywa nierozsądnie!
bo umiałybyśmy sobie inaczej postąpić.

SCENA III.

FRYDERYK, AMELJA, PAULINA, ZOSIA, SEU-
ŻACY. (*niosąc małą walizę podróżną*)

F R Y D E R Y K.

Tak, tak, ja to jestem. Nakoniec oglądam
was po długiem niewidzeniu; ah gdyby mi
wolno było, uściskałbym was z całego serca!

(*patrzac na nie*) Nic nie mówią, rozumiem to znaczy, że nie chcą abym je uściskał; no, ale rączki ucałować można. (*do Amelji*) Pochlebna, ożywiony nadzieją, przybywam pewny twojego serca, bo kiedy ja pozostałem wiernym mojej przysiędze, tam, gdzie tysiące wydarzało się sposobności do złamania onćj, to i ty pani wzajemnym uczuciem stałości powinnaś wynagrodzić moją miłość. Kochana Ameljo! w ośmiu dniach 150 mil ubiegłem konno!... bez zatrzymania się... zajeździłem trzy konie... pyszne koniki!... Chciałbym był mieć skrzydła... Nieszczęściem nie można było tego dokazać... Nakoniec jestem przy tobie... zawsze ten sam, zawsze pałający miłością i niecierpliwością. (*półgłosem*) Ale wiesz, że Paulina, śliczną dziewczę, niech ją!...

AMELJA. (*pomieszana*)

Kochany kuzynie... po tak długiej podróży, zapewne potrzebujesz spoczynku?

PAULINA.

Tak, mój kuzynie... znać to...

FRYDERYK.

Zapewne dla tego żem nie ubrany, nie miałem czasu myśleć o tem... tak mi było pilno... Ale, jeżeli pamiętam dobrze, dawniej, w tym

opuszczonym pawilonie, dobra ciotka kwaterowała swojego siostrzeńca... Zabieram tedy na nowo w posiadłość moje dawne pomieszkanie, przebiorę się, i za chwilę powrócę. (*n. s.*) Ta droga Amelja, jak jest wzruszoną! lecz jej szczęście z mojem równać się nie może. (*do służącego*) W prawo marsz! (*odchodząc*) Ale i Paulina uważam nie bardzo spokojnie na mnie pogląda. No no już ja to wszystko zagodzę tak, że żadna narzekać nie będzie. (*odchodzi*)

SCENA IV.

AMELJA, PAULINA, ZOSIA.

A M E L J A.

Nie mogę wyjść z zadziwienia... Fryderyk w zamku nie uwiadomiwszy nas o tem, nie napisawszy ani słowa.

ZOSIA. (*n. s.*)

Tak, gdyby można to samo przy mnie powiedzieć, to by było rzeczą istotnie zadziwiającą. (*Paulina daje jej znak*)

A M E L J A.

I to ciągle nazywanie mię po prostu Amelją.

Z O S I A.

Eh, niech to pani nie gniewa; mój krewny Janek, który kochał się w [Justysi jeszcze przed jej ożenieniem, zawsze ją nazywa Justysią, i nic go nie może zniewolić, aby na nią pani Bernard zawołał. Zawsze panno Justysiu... ale mówże przecię pani Bernard, gdzie tam, niepodobna!... a to nie bardzo przyjemnie dla męża, gdy w jego obecności żonę nazywają mu panną. Pani Bernard nie gniewała się o to, kiedy jej małżonka nie było, bo mówiąc między nami: dla mężatek ta omyłka jest przyjemna ze wszech względów.

A M E L J A.

Ah, jeżeli nie odebrał mojego listu!... posłaniec może schwymany, list zagubiony... Szczególniej w armji, gdzie co chwila zmienia się miejsce stanowiska.

PAULINA. (*drżąca*)

Oh, jestem pewna, że go nie odebrał!

A M E L J A.

Tego jawnie dowodzi jego postępowanie, to nieprzewidziane przybycie, taradość... Jednakże ten wypadek nie bardzo będzie przyjemnym dla mnie! Fryderyk był takim trzpiotem!..

P A U L I N A.

A w armji nie poprawiają się z podobnych błędów.

Z O S I A.

Przeciwnie... brat znajomego mojej matki, powrócił z wojska jeszcze gorszym wietrznikiem.

A M E L J A.

Az do powrotu mojego męża, unikać będę jego obecności. Lękam się, abym nie obudziła gniewu w panu Neubourg.

P A U L I N A.

Fryderyk powraca pełen ufności, że Amelja do niego jeszcze należy; i jeżeli twój mąż dzień jeden w drodze się zatrzyma będziemy wszyscy troje w wielkim kłopotcie.

A M E L J A.

Cokolwiek bądź wypadnie, nie mogę się jeszcze z nim widzieć. *(odchodzi)*

SCENA V.

PAULINA, ZOSIA.

Z O S I A.

Ale powiedz mi panienska, dla czego ukrywasz się przedemną... bo od dwóch lat jak mi panienska skrycie oddajesz listy do kuzynka, i kiedy również skrycie przynoszę jego odpowie-

dzi z poczty sąsiedniego miasteczka, dokąd ni-
by do kościoła chodzę; to już pani wątpić nie
powinna żebym się nie miała domyśleć. Dla
czegoż więc nie postępujesz ze mną o twarcie,
jako ze współwinną? to mię krzywdzi.

PAULINA. (n. s.)

Oh te przekłete listy! (do Zosi) Bo widzisz
moja siostra chciałaby, żeby nikt nie miał po-
dejrzania...

Z O S I A.

To prawda, ale ja... która należę do tego...
powinnam dzielić i zaszczyty... Lecz powiedz
mi pani, gdyby pan Hrabia dowiedział się o tej
korespondencji... Prawda, że nie jest takim
brutalem jak nasz sąsiad Grzegórz, ale listy...

P A U L I N A.

Są zupełnie niewinne... Schowałaś dobrze?

Z O S I A.

Oh, co się tycze ostrożności, nigdy mi jej
nikt żałować nie każe.

P A U L I N A.

To dobrze... może ja tych listów będę po-
trzebowala.

Z O S I A.

Natychmiast je przyniosę.

P A U L I N A.

Pamiętaj, że tylko ty jedna znasz całą taje-

mnice; jedno słowo, najmniejsza nierostropność zgubić by nas mogły. (*odchodzi*)

ZOSIA. (*do odchodzącej*)

Bądź pani spokojną, postąpię sobie tak jak córka Sebastjana, ona udaje, że o niczem nie wie, a jednak wie wszystko bardzo dobrze. (*sama*) Jak też te panie z miasta lubią odludność! My we wsi nie bardzo ją lubiemy!... Janaprzykład nie obawiam się niczego. (*Fryderyk wchodzi i całuje ją w ramię*) Ah! cóż to za głu... Ah to pan Fryderyk! pocałowanie mocno przestrasza, kiedy o tém nie wiemy... kiedy się wie... to co innego...

SCENA VI.

ZOSIA, FRYDERYK.

FRYDERYK.

Luba, żwawa dziewczyna. Jak się nazywasz moje dziecię?

ZOSIA.

Dziecię, proszę; już dawno nim nie jestem.

FRYDERYK.

Ah przepraszam, jakże się tedy nazywasz moja panienko?

Z O S I A.

Tak, to co innego. Zosia Lerond, byłam tak małą jak pan Fryderyk odjechał, dla tego też pan wtenczas nie zważał na mnie, chociaż ja dobrze mu się przypatrywałam kiedyś Pan w swoich szlifach i przy pałaszu przez wieś przechodził! Matka kuzynek pańskich, była moją matką chrzestną.

F R Y D E R Y K.

Pani de Revennes?

Z O S I A.

I pan de la Rivaliere mój ojciec chrzestny, wtenczas byli bardzo bogaci; ale potem... pani miała wiele zmartwień, do tego stopnia iż przymuszoną była sprzedać ten zamek, który stanowił cały jej majątek.

F R Y D E R Y K.

Lecz teraz jest dobrze utrzymywany. (*n. s.*) Będę miał słiczną własność! (*głośno*) Tu można by manewrować z całym szwadronem kawalerji? ale gdzież są moje kuzynki?

Z O S I A.

Przy toalecie. (*n. s.*) może też tak prędko nie odejdzie.

Tom VII.

2

FRYDERYK.

Jak tylko będzie można ich widzieć, dasz mi znać... i to ładne stworzenie ta przebiegła Zosia.

ZOSIA. (*odchodząc na prawo*)

Teraz, kiedybym była się nie zlekła, to mię nie pocałował. (*wybiega*)

SCENA VII.

FRYDERYK. (*sam*)

Jestem więc u mojej żony... Moja żona! jak ten wyraz nadaje natychmiast człowiekowi postać szanowną; tak, jak gdyby przybyło z dzieśnięć lat służby i jak gdyby się odbyło ze dwie kampanje!... Kochana Amelja! patrząc na nią dzisiejszego rana zdawało mi się, że widzę w jej twarzy wszystkie wyrażenia naszej najmilszej korespondencji; ileż dowcipu! delikatności! a nadewszystko akuratność!... Co miesiąc list, tak jak raporta. (*po chwili*) Ale co mię szczególniej zajęło, to luby wdzięk Pauliny, jak wypiękniała!... Mam dwie kuzynki prześliczne i wyznam szczerze: żem się nigdy nie spodziewał znaleźć Paulinę tak powabną, i Amelja zawsze jest ujmująca; jedna zyska-

ła, druga nic nie straciła, Czas, któremu nic oprzeć się nie może, zdaje się, że szanując obie, dla młodszej przyspieszonym maszeruje krokiem, dla starszej zatrzymał się zupełnie. (*słychać dzwonienie*) Ah, dzwonią przy drzwiach ogrodowych, jako przyszły właściciel idę otworzyć. (*otwiera drzwi w głębi*)

SCENA VIII.
FRYDERYK, NEUBOURG.

FRYDERYK.

Proszę, proszę pana.

NEUBOURG. (*zdziwiony, n. s.*)

Obcy, cóż tu porabia, pomówmy z nim. (*głośno*) Proszę mi przebaczyć, nie wiem z kim mam zaszczyt mówić...

FRYDERYK.

Fryderyk de Mornac, porucznik, kuzyn panien de Revennes.

NEUBOURG. (*n. s.*)

Otóż go mamy.

FRYDERYK.

Pan zapewne jest sąsiadem?

NEUBOURG.

I bardzo blizkim sąsiadem.

FRYDERYK.

Nie przypominam sobie, czy miałem kiedy

przyjemność widzenia pana?

NEUBOURG.

Bo ja dopiero po jego oddaleniu się zamieszkałem w tych stronach.

FRYDERYK.

Pan zapewne jesteś rolnikiem?... klasa ludzi bardzo szanowna.

NEUBOURG.

Nie Mości panie.

FRYDERYK.

Aha, zapewne kupcem? klasa ludzi bardzo ważna.

NEUBOURG.

Byłem dyplomatykiem.

FRYDERYK.

To co innego, umiejętność bardzo użyteczna.

NEUBOURG.

Hrabia do Neubourg.

FRYDERYK.

Ah Mości Hrabio... człowiek tak zacny, tak zasłużony, którego imię już oddawna sława rozgłosiła, (*n. s.*) pierwszy raz je słyszę w mojem życiu... (*głośno*) będzie mi to bardzo przyjemnie przyjmować go jak najczęściej u siebie.

NEUBOURG.

Tyle grzeczności zawstydza mię.

FRYDERYK.

Niech pan nakryje głowę... na wsi nie lubię ceremonji...

NEUBOURG.

Widzę to...

FRYDERYK.

Spodziewam się że będę mógł korzystać z znajomości pana Hrabiego; albowiem zamieszkać już tu nieodmiennie.

NEUBOURG.

Pan masz chęć zamieszkać w tym zamku?

FRYDERYK.

Przybyłem właśnie tego rana... przed godziną. Nigdybyś pan nie odgadł co mię tu sprowadza, jak na wojskowego, zbyt śmiało przedsięwzięcie... Przybywam ożenić się z moją kuzynką.

NEUBOURG.

Z Pauliną?

FRYDERYK.

Nie, i ona jest zachwycającą... ale poprzednie przyrzeczenia... żołnierz powinien dotrzymać danego słowa... kuzynkę Amelję zaślubiam.

NEUBOURG. (zdziwiony)

Amelję!

FRYDERYK.

Tak Mości panie; nasza miłość trwa od dawna. Miałem lat 9 ona 5, a już nazywaliśmy

się: mój mały mężu, moja mała żono!.. tańczyliśmy zawsze razem, chodziliśmy razem, ściskaliśmy się nie raz...

NEUBOURG.

Jakto i ściskaliście się?

FRYDERYK.

Będąc jeszcze dziećmi... i dla tego kiedy nas tylko razem widziano, wszyscy mówili: oni są stworzeni jedno dla drugiego.

NEUBOURG.

Doprawdy? no proszę...

FRYDERYK.

Daruj pan, że tak otwarcie z nim mówię, lecz pomiędzy sąsiadami bez ceremonji... Widziałem już moją Amelję, ale tylko przez chwilę, i to w obecności siostry, dla tego jeszcze nie powiedziałem sobie... tak... pan wie... po kilku latach oddalenia, z jakim to upragnieniem oczekujemy chwili powitania; jednakże przy świadkach to nienajprzyjemniej.

NEUBOURG. {n. s.}

Szczęście dla mnie.

FRYDERYK.

No, teraz zostawiam go panem zwierzyńca, ogrodu, i tego wszystkiego, co otacza ten zamek zewnątrz, a sam pospieszę zobaczyć, czy

moja najukochańsza żona, już ukończyła swoją toaletę.

NEUBOURG.

Panie, pozwól...

FRYDERYK.

Pozwalam, pozwalam, nie czyń sobie przykrości; przejdź się po ogrodzie, przypatrz się dobrze wszystkim pięknościom tego czarodziejskiego miejsca, a ja pospieszę do mojej Amelji.

NEUBOURG. (*zatrzymując Fryderyka*)

Ale...

AMELJA. (*ukazując się w pawilonie*)

Ja tu jestem.

NEUBOURG,

Nie zatrzymuję go dłużej.

FRYDERYK.

Wiem dobrze, nie bardzo przyjemnie w ówczas przypatrywać się róży w ogrodzie, kiedy żyjąca róża innego słodkim uśmiechem obdarza. Ale daruj mi, i pan kiedyś przybrawszy różnobarwne motyla skrzydełka, ułoty aże zdradziecko z jednego kwiatka na drugi, a teraz, kiedy śnieg już przypruszył wiosnę twojego życia, młodszy motylek niech tak-

że krótkich chwil szczęścia użyje. Do widzenia! do widzenia! (*odchodzi na lewo*)

SCENA IX.

AMELJA, NEUBOURG.

AMELJA.

- No, kochany mężu, cóż myślisz o Fryderyku?

NEUBOURG,

Przyjmował mię u ciebie z taką poufalością... Zrazu mniemałem, że to była zemstaza to, żeś mię nad niego przeniosła... ale wkrótce przekonałam się, iż nie wie o naszym połączeniu.

AMELJA.

Trzeba go uwiadomić.

NEUBOURG.

Właśnie to miałem uczynić, kiedym ciebie postrzegł.

AMELJA.

To nie do ciebie należy mój mężu; Fryderyk tak porywczy...

NEUBOURG.

Znajdę sposób uspokojenia go... Już ja w mojem zyciu załatwiłem nie jedną sprawę.

AMELJA.

Bydź może, ale do mnie należy wyjaśnić mu wszystko.

N E U B O U R G .

Byłoby to pomnażać jego cierpienia, ukazując mu utraczone dobro.

A M E L J A .

A więc działajmy przez tłumacza... wyborna myśl... moja siostra w tém zdarzeniu jest osobą zupełnie bezinteresowną.

N E U B O U R G .

Ale Paulina jest trzpiot...

A M E L J A .

Prawda, ale zwierzenie tajemnicy, z tak ładnych ust wyrzeczone, nie obrazi miłości własnej Fryderyka.

N E U B O U R G .

I ja sędzę, że mu na niej niezbywa.

A M E L J A .

Tak, Paulina musi to wypełnić, przebacz że cię opuszczam na chwilę, idę do niej. Napróżno Fryderyk mówi o swojem nadzwyczajnem przywiązaniu; my kobiety wiemy co to są mężczyźni, u nich jedna chwila niweczy tysiące najuroczystszych przysiąg, i dla tego powątpiewam i o szczerości kuzynka; tak dawno mię nie widział...

N E U B O U R G .

Prawda, że mężczyźni są niestali, ale kiedy ty droga żono byłaś przedmiotem jego miło-

ści, ja ci za wierność jego zaręczam. (*Amelja odchodzi do nawilonu. Fryderyk ukazuje się zmordowany, ocierając czoło.*)

SCENA X.

NEUBOURG, FRYDERYK.

FRYDERYK.

Ach już więcej nie mogę... ten ogród jest tak długi... nigdy mi tak wielki się nie wydawał.

NEUBOURG.

Jakto i pan go przebiegłeś?

FRYDERYK.

Dwa razy wzdłuż i wszerz. Piękny spacer żołnierski.

NEUBOURG,

Musisz pan tedy być utrudzony?

FRYDERYK.

Amelja nie była wcale przy toalecie, powiedziano mi że jest w ogrodzie, idę, biegnę... nikogo nie widzę...

NEUBOURG.

W tej chwili z tad odeszła.

FRYDERYK.

I pan nie kazałeś mię przywołać?... a nie-dobry sąsiedzie!

NEUBOURG.

Wyznaję szczerze, że nie pomyślałem nawet o tem.

FRYDERYK.

Wierzę bardzo, przy Amelji można; i o czem inném myśleć, ona jest wszystkim dla nas. Mówiła ci zapewne o swoim kuzynie Fryderyku?

NEUBOURG.

Bardzo wiele!

FRYDERYK *(w zapale)*

Boska kobieto! stałość twoja wkrótce odbierze nagrodę.

NEUBOURG.

Ale jeżeli mogę dać wiarę jej słowom, to pan kuzynek nieco sobie pochlebia.

FRYDERYK.

Nie dowierzała panu zapewne... nie powiedziała ci wszystkiego?

NEUBOURG.

Amelja nie ma dla mnie żadnych tajemnic, jestem jej najlepszym przyjacielem!

FRYDERYK.

Ale przyznaj pan sam, są takie rzeczy, które kobieta zamilcza i przed najlepszym swoim

przyjacielem, a częstokroć nawet i przed mężem.

NEUBOURG.

Nie byłoby to rozsądniej pomyśleć, że czas i nieobecność zwykły swój skutek i na Amelji zdziałały, że jej uczucia przytłumiły nieco?... Przrzeczenia idą w niepamięć, słowa ulatują..

FRYDERYK.

Ale pisma zostają.

NEUBOURG (*zdziwiony*).

Jakto pisma?

FRYDERYK.

Tak pisma.

NEUBOURG.

Czy pan masz listy Amelji?

FRYDERYK.

Listy zachwycające... czarowne... pisała jak Sévigné.

NEUBOURG.

To byź nie może. aby panna de Revennes zapomniała się do tego stopnia...

FRYDERYK.

Zapomniała się! pisząc do swego męża?... (*poruszenie p. Neubourg*) To prawda że jeszcze nim nie jestem... ale kilkadziesiąt mil oddalony, dla niej było prawie toż samo. Wszakże to były tylko słowa, zdala od tej anielskiej

istoty tworząc sobie idealne szczęście zacząłem od miłości platonicznej aby dojść do małżeńskiej.

NEUBOURG.

Ale tej korespondencji nigdy nawet przypuścić nie mogę.

FRYDERYK.

O! to za wiele, pan mię przymusisz...

NEUBOURG.

Mam mocne powody wątpić czyli nawet pisała do Pana.

FRYDERYK.

A więc sam się przekonasz, zobaczysz... ale proszę o tajemnicę; albowiem nikt ich dotychczas nie widział, prócz mojego dowódcy i pięciu oficerów moich kolegów, zapalonych wielbicieli literatury.

NEUBOURG.

Będę bardzo szczęśliwy gdy mię ukarzesz za moją niewiarę.

FRYDERYK.

Będziesz ukarany.

NEUBOURG.

Kiedy?

FRYDERYK.

Jak tylko mój tłumok rozpakuję; listy te zawsze mam przy sobie... to mój talizman.



NEUBOURG.

A więc za godzinę?

FRYDERYK.

Za godzinę? dobrze.

NEUBOURG.

Tu?

FRYDERYK.

Niech i tak będzie. Cieszy mię nawet ta sposobność przejrzenia ich... Jużem ich tak dawno nie widział, odczytamy je razem.

NEUBOURG. *(z przymuszonym uśmiechem)*

To mię niezmiernie ucieszy.

FRYDERYK.

Podziwiać będziesz wraz ze mną świeżość myśli... delikatność stylu... Nasz tłusty major wielbiciel Voltera, chciał abym je kazał wydrukować, przed mojem ożenieniem, ah nigdy bym tego nie uczynił. Widzisz tedy pan, że chcę największą zachować tajemnicę!... a zatem za godzinę; tu... oba bez świadków...

NEUBOURG.

Za godzinę, nie spóźnię się ani minuty. *(wychodzi na lewo)*

SCENA XI.

PAULINA, FRYDERYK.

(Paulina w pawilonie usłyszała ostatnie wyrazy, staje we drzwiach)

PAULINA. (*n. s.*)

- Bez świadków... tu za godzinę!

FRYDERYK.

Może też źle uczyniłem wdając się tak z sąsiadem, ale on mię pobndził swoim niedowierzaniem, jestem pewny siebie, i ukarzę niedowierzającego Jegomości. Idźmy zadosyc mu uczynić.

PAULINA. (*wychodząc z pawilonu*)

Nie paniczu, zapalona głowo, nie pójdiesz.

FRYDERYK.

Paulina!

PAULINA.

Byłam w pawilonie, i zdaje mi się, że tu umyślnie los mię sprowadził, ażeby ci nie pozwolić głupstwa popełnić.

FRYDERYK.

Głupstwa... (*n. s.*) wyraża się z takim wdziękiem, że możnaby mówić iż grzeczność powiedziała. (*głośno*) Śliczna kuzynko, dałem słowo... prócz tego bądź bez obawy: to jest uczciwy człowiek.

PAULINA.

Dla tego też... czyż to jest powód aby go zabić?

FRYDERYK. (*zdziwiony*)

Aby go zabić!

P A U L I N A.

Tak, dobrze słyszałam... za godzinę bez świadków. I nie wstydzi się się kuzynku... zaledwie przybyłeś, już się chcesz bić... a jeszcze z kim?... z mężem mojej siostry.

FRYDERYK. (*najmocniej zdziwiony*)
Co mówisz?

PAULINA. (*przestraszona*)

Ah, mój Boże... uwiadomiłam go o tém bez ogródki.

FRYDERYK.

Z mężem Amelji... Amelja jest zamężną?

P A U L I N A.

To nie jej wina.

FRYDERYK. (*w gniewie*)

Zdrajczyni! kiedy powracam pełen najśłodszego nadziei, żyjąc tylko dla niej...

PAULINA. (*n. s.*)

Szczęściem nie ma pistoletów.

FRYDERYK. (*nagle uspakajając się*)

Ona już jest za mężem!... Oh kobiety! kobiety! i dziwić się nam, że w inną stronę czasem uderzemy.

P A U L I N A.

No spokojnie rozpacza, jak rozsądny człowiek.

FRYDERYK.

I trzebaż o to pytać w jakim czasie... kiedy mnie zdradziła, poświęciła Amelja? od ostatniego listu pisanego do mnie.

PAULINA.

Nie, mój kuzynie... to było przed pierwszym!

FRYDERYK. (*ostupiały*)

Przed pierwszym!... Dla czegoż więc pisząc taita się przedemną?

PAULINA.

Dla czego?... Czyliżeś nie przyrzekł zabić się gdyby moja siostra za mąż poszła?

FRYDERYK. (*przypominając sobie*)

Przyrzekłem zabić się! no proszę, nie przypominam sobie tego.

PAULINA.

Ale tak jest, i dla tego właśnie zataiła prawdę, którejz bowiem seree byłoby tak dzikiem aby śmierci twojej żądać, i jeżeli Amelja nie uwiadomiła cię o swoim związku to dla tego tylko aby ci życie ocalić.

FRYDERYK.

Nie, nie Paulino, nie ta przyczyna powodowała twoją siostrą... była w jej postępowaniu jakaś wspaniałość, której jednak wcale

niema w jej listach... Oh, umiem je na pamięć prawie... pierwsze w istocie były zimne... zawile... można było dostrzedz, że ręka co ją kreśliła nie przywykła jeszcze do podobnej korespondencji... (*tu Paulina spuszcza oczy*) Ale z wolna ten przymus zniknął, jej wyrażenia stały się przyjaźniejsze, listy mniej poważne, więcej tkliwością tchnące; rozum, słodycz, czucie panowały w nich na przemian, i to wszystko tak naturalnie... Ah gdybyś znała jej korespondencją, klękać przed nią trzeba... wyznaję moje listy, były pełne ognia; i właśnie te przekłete listy czyniły mię tysiąc razy więcej zakochanym... byłem tak pewnym... tak wiernym... gdy pomyślę żem odrzucił rękę siostrzenicy prefekta departamentu, pomimo tego, że była prześliczną.

P A U L I N A.

Jakto mości panie, odrzuciłaś jej rękę?

FRYDERYK. (*jakby uderzony wspomnieniem*)

A ja który szczyłem się z tych listów przed panem de Neubourg.

PAULINA. (*przerażona*)

Jakto wspomniałaś mu?...

FRYDERYK.

Jego w tym wina... dla czego ze mną działał podstępnie. Do tego nawet doszło między nami że mu przyrzekłem pokazać, może on zamysła je wydrukować.

PAULINA.

Ale ty tego nie uczynisz Fryderyku... jeżeli masz cokolwiek dla mnie przyjaźni?... Ah nie wiesz, ile mi cierpień zadajesz.

FRYDERYK.

Wolałbym umrzeć, niżeli ciebie zmartwić. Paulino, zamilczę, zamilczę o wszystkim.

PAULINA. (*n. s.*)

Ah! moja tajemnica ocalona!

FRYDERYK.

Bądź pewną mojego słowa. (*n. s.*) Wyleczyłem się z miłości na całe życie... nigdy kochać nie będę, przysięgam... (*spoglądając na Paulinę*) Ale Paulina... nie przysięgajmy za wcześnie. (*wychodzi no prawo*)

SCENA XII.

PAULINA. (*sama*)

Ah Paulino jedno słowo dało ci poznać wszystkie niebezpieczeństwa tej nieszczęsnej korespondencji; teraz szczególnie nikt o niej wie-

dzieć nie powinien. Moje serce bez doświadczenia nie знаło jeszcze uczuć kłiwęj miłości, zrazu mówiłam o niej, nierozumiejąc jej, i niestety! uczułam ją nie wiedząc. Podług zwyczaju ciągle się uzalał w swoich listach, ja chciałam zapewnić jego serce; i pisząc za moją siostrę zapominałem że to ja trzymam pióro. Umarłabym ze wstydu i żalu gdyby ta skrytość kiedy na jaw wyszła. (*chce odejść*) Ah to ty Zosiu.

SCENA XIII.

PAULINA, ZOSIA.

ZOSIA. (*wchodząc z lewéj*)

Tak, panienko, to ja z pakietem.

PAULINA.

Dalej prędko w ogień... niech to wszystko spłonie w jednéj chwili.

ZOSIA.

Jakto, te śliczne słodkie bileciki?

PAULINA.

Moja spokojność w ich zniszczeniu... Zosiu, pamiętaj o tém.

ZOSIA.

Pani spokojność, a więc już są spalone. (*Paulina odchodzi spiesźnie na prawo*)

SCENA XIV.

ZOSIA. (*sama*)

Gdyby żona Piotra Leroux była także tak ostrożną i spaliła wszystkie listy swego kuzynka brygadjera, nie byłoby jej się przytrafiło nieszczęście; ale są tacy ludzie, którzy wyobrażają sobie że miłość nie może mieć niebezpiecznych skutków. Mówić bez świadków to dobrze, ale pisać to co innego. Pomimo największej troskliwości list się zagubi, ktoś znajdzie a potem szydzi jeszcze, a jeżeli mężulko to się na szyderstwie nie kończy; dla tego też ja lękając się zazdrosnych, zamiast jednego listu wolałabym codziennie mieć dwadzieścia rendez-vous, bo na cóż się kompromitować? Ah! Pan Hrabia!... (*kryje pakiet po za siebie, chcąc go ukryć upuszcza kilka listów i stara się je zasłonić fartuszkiem.*)

SCENA XV.

NEUBOURG, ZOSIA.

NEUBOURG. (*wchodząc z prawej,*)

Co tu porabiasz?

Z O S I A.

Przechadzam się Panie Hrabio.

N E U B O U R G.

Idź przechadzać się gdzieindziej.

Z O S I A. (*nie ruszając się z miejsca*)

Dobrze Panie Hrabio.

N E U B O U R G.

Czyś mię nie zrozumiała?

Z O S I A.

I owszem Mości Hrabio.

N E U B O U R G.

A więc?

Z O S I A.

Właśnie myślę w którą stronę mam się udać.

N E U B O U R G.

Idź sobie do kata!

Z O S I A.

W którą stronę Panie Hrabio?

N E U B O U R G.

Cierpliwość mię odbiega... Widzisz że tu chcę sam zostać... dla tego proszę sobie.... (*bierze ją za rękę i odprowadza z miejsca*) Co to jest?

Z O S I A.

To listy...

N E U B O U R G.

Pozbieraj je żywo. (*chce jej pomódz*)

Z O S I A.

Niech się Pan Hrabia nie trudzi... to są listy miłosne, to nie jest Pańska rzecz, to moja...

N E U B O U R G.

Twoje miłostki! no proszę.

Z O S I A.

Tak, tak moje.

N E U B O U R G.

Więc to do ciebie te listy pisane, a przecież ty czytać nie umiesz? (*bierze jeden*) O Nieba!... do rąk panny Amelji de Revennes! (*otwierając*) Fryderyk!... (*zgniewem*) Odpowiedz więc!

Z O S I A. (*drżąca*)

Tak Panie Hrabio!...

N E U B O U R G. (*do siebie z rozważą.*)

Wybadywać tę dziewczynę, zawstydząć Amelję, nie... Nierozsądna czy występna, nigdy jednak nie postąpię tak aby ta która moje nosi nazwisko, rumienić się miała przed swemi służącemi (*do Zosi*) Cóż jeszcze? czegoż czekasz?

Z O S I A.

Pan Hrabia powiedział mi: Odpowiedz więc... czekam na zapytanie.

NEUBOURG. (*spokojnie*)

Czy to wszystkie listy?

Z O S I A.

Ani jednego nie brak, może Pan mi zaufać,
kiedy ja czego pilnuję...

NEUBOURG. (*zimno*)

Powiedz osobie która ci te listy oddała, że
ją proszę ażeby tu przyszła natychmiast.

Z O S I A.

Czy mam powiedzieć że to ja...

NEUBOURG. (*z żywością*)

Jeżeli słowo dodasz, wypędzę cię...

Z O S I A.

Dobrze Panie Hrabio... (*wychodząc*) Idźmy
szukać Panny Pauliny, ona ma dowcip potrafi
się wywinąć. Zona Andrzeja z przykrzejszego
jeszcze wypadku zręcznie się wywinęła. (*wy-
biega na prawo.*)

SCENA XVI.

FRYDERYK, NEUBOURG.

FRYDERYK. (*wchodząc z prawej*)

Jakto! Pan już tutaj?

NEUBOURG,

W moim wieku niema czasu do stracenia...

ipewny jestem... że gdybyś był na mojem miejscu, byłbyś równie niecierpliwym zobaczyć te zachwycające listy.

FRYDERYK.

A gdybyś Pan był na mojem miejscu, byłbyś w wielkim kłopotcie pokazać one.

NEUBOURG.

Jakto? proszę pamiętać o przyrzeczeniu.

FRYDERYK.

Trzeba bydz szczerym... to wszystko co powiedziałem jest zmyśleniem.

NEUBOURG.

Zmyśleniem!

FRYDERYK.

Niedowierzanie Pańskie dotknęło mię, miłość własna i próżność przyłączyły się do tego... Człowiek jak ja nie potrzebuje bydz istotą bez błędów... Przewiniłem, wyznaję, moja kuzynka Amelją nigdy do mnie nie pisała.

NEUBOURG.

Nigdy... jesteś Pan tego pewnym?

FRYDERYK.

Czy jestem tego pewnym?... chciałbym ażeby ktoś ośmielił się utrzymywać przeciwnie.

Tom VII.

4

N E U B O U R G.

Kiedy Amelja nie pisała do pana, jakże się to stało, żeś pan jej odpowiadał?

F R Y D E R Y K.

Ja! mości panie? ah to coś dziwnego!

N E U B O U R G.

Oto są pańskie odpowiedzi.

F R Y D E R Y K.

Moje?..

N E U B O U R G.

Co znaczy to pomieszanie?

F R Y D E R Y K.

Pomieszanie? (*n. s.*) Nie wiem co powiedzieć. (*do p. Neubourg*) Panie Hrabio, proszę mi powiedzieć od kogo pan masz te listy?

N E U B O U R G.

To moja tajemnica.

F R Y D E R Y K.

Nie to zdrada, a nie tajemnica.

N E U B O U R G.

Czy te listy są od pana? czy są adresowane do panny de Revennes? odpowiedz: ja postępuję otwarcie.

F R Y D E R Y K.

Widzę, już nie ma sposobu ukryć cokolwiek przed panem; chcesz poznać prawdę?... (*n. s.*) Dalej kłams!wo na prędce.

N E U B O U R G.

Słucham.

FRYDERYK.

Adres tych listów dowodzi tylko jednej rzeczy, przyjaźni, poświęcenia mojej kuzynki.., albowiem te listy nie były do niej pisane, i co większa nawet nie odemnie... Amelja na pensji jeszcze połączyła się związkiem przyjaźni z pewną czarującą osobą... przebaczysz pan, że mu nie wyjawię jej nazwiska, nie jest to moja tajemnica... bo gdyby moją była, wiesz pan dobrze.. Tedy, zatrzymaj to pan przy sobie; ta młoda osoba była kochaną, wielbioną od jednego oficera mojego kolegi, przyjaciela od serca, którego rana w prawą rękę zmuszała nie opuszczać łóżka... pan uważasz dobrze?... w takim tedy stanie rzeczy byłem jego sekretarzem... rzecz prosta, i pan na mojem miejscu toż samo byś uczynił... Moja kuzynka, pod której adresem listy te były przesyłane, oddawała je tej młodej osobie która ze swojej strony... Sprawa ta dla nas obojga była zupełnie obojętną, i widzisz pan jak przypadek może nadać barwę złego, rzeczy najniewinniejszej; nieco chępliwości z mojej, wiele łatwowierności z pańskiej strony, mogłyby wzniecić podejrzenia... kto-

re szczęściem zniknąć muszą przed wyjaśnieniem tak prawdziwem i szczerem.

NEUBOURG.

Ale mościpanie, to wyjaśnienie...

FRYDERYK.

Winienem je być uczynić, i dopóty byłbym nie opuścił zamku, dopóki bym nie dopełnił mojej powinności.

NEUBOURG. (*zdziwiony*)

Pan chcesz opuścić zamek?

FRYDERYK.

Zdarzenie nie przewidziane... rozkaz Ministra zmusza mię oddalić się; ale bądź pan spokojny... powrócę... (*wychodząc*) Niech mążulko łamie sobie głowę, aby odgadnąć gdzie się znajduje... (*wychodzi na lewo*)

SCENA XVII.

NEUBOURG. (*sam*)

Dzięki wyjaśnieniu, teraz wiem jeszcze mniej jak wprzódy.

SCENA XVIII.

AMELJA, NEUBOURG,

AMELJA. (*wchodzi z prawej*)

No mój mężu, rzecz skończona, widziałam

się z Pauliną, nasz kuzyn już wie o wszystkim, i bardzo dobrze się skończyło.

NEUBOURG.

Tak... właśnie mieliśmy tutaj szczególniejsze wyjaśnienie całej rzeczy. (*poruszenie Amelji*)
Bądź spokojną, Fryderyk jest człowiek hono-
ru... a przytém bardzo dowcipny.

AMELJA.

Ciesz mię ta pochwała.

NEUBOURG.

Doprawdy?

AMELJA.

Przyszła mi bowiem myśl, którą ci chcę
przełożyć; trzeba nam zatrzymać Fryderyka.

NEUBOURG.

Czy tak?

AMELJA.

Paulina jest miła, przyjemna, umiejąca się
podoać, ona niebawem ustali uczucia nasze-
go kuzynka.

NEUBOURG. (*n. s.*)

Ta mowa... ta pewność... (*głośno*) Ameljo,
przekonany jestem, że Fryderyk nie odebrał
listu donoszącego mu o naszym małżeństwie;
ale ty, od dwóch lat nie odebrałaś od niego
najmniejszej wiadomości?

A M E L J A.

Żadnej... To pytanie i sposób mówienia mogłyby mię niespokojną uczynić: ale nie, ty kochasz swoją żonę... masz w niej zaufanie.

N E U B O U R G.

Czyli je mam? (*dając jej listy, n. s.*) Teraz czas być szczerym. (*głośno*) Oto dowód.

A M E L J A.

Listy pod moim adresem!... odpieczętowane! Oh panie de Neubourg... nigdybym sobie nie pozwoliła...

N E U B O U R G.

Mężowie zwykli wiele sobie pozwalać; tym razem jednak nie ja zawiniłem i chciej dowiedzieć się kto przyjmował i otwierał tę korespondencją.

A M E L J A.

Co widzę, o Nieba! listy Fryderyka, pieczęć pocztowa.

N E U B O U R G.

Czytaj! czytaj!

A M E L J A. (*czytając*)

„Droga Ameljo, ileż ci wdzięczen jestem za „troskliwość twoję o mnie. Twoja niespokojność czyni mi szacowném życie, każe mi je „kochać, dla tego aby dni moje tobie kiedyś

„poświęcić. Twój ostatni list!...“ To jest potwarz!

NEUBOURG. (*zdziwiony, n. s.*)

Potwarz!

A M E L J A.

Tak mój mężu, muszę widzieć Fryderyka, mówić z nim natychmiast. (*oddaje listy Panu Neubourg*).

NEUBOURG.

Ameljo, twoje słowo dostateczne dla mnie, jest ono świętszą rękojmią jak pisma całego świata. Fryderyk uczuł że jego obecność w zamku jest przynajmniej niepotrzebną; gdyż zamyśla go opuścić, pozwólmy mu więc odjechać.

A M E L J A.

Odjeżdża! (*wołając*) Janie! Janie!

NEUBOURG.

Cóż zamyślasz czynić?

A M E L J A.

Moję powinność. (*wydziera z pugilaresu kartkę i pisze.*)

NEUBOURG. (*n. s.*)

Nie... ten szlachetny gniew nie jest zmyślony i byłbym niesprawiedliwym gdybym zachował najmniejszą wątpliwość.

AMELJA. (*do służącego.*)

Zanieś ten bilet Panu Mornac... oczekuję tu na niego.

NEUBOURG.

Ale ta rozmowa jest niepotrzebną.

AMELJA.

Nie, mój mężu, wierzę w twoje zaufanie, ale powinnam myśleć o przyszłości; może później żałowałbyś żeś opuścił sposobność wyjaśnienia dowodnie niewiuności twojej żony, wyrzuciłbyś mi w ówczas żem zbyt uprzejmie uległa twojemu żądaniu. Wierz mi, lepiej niech się wszystko odkryje.

NEUBOURG,

Jakto, chciałabyś w mojej obecności?...

AMELJA. (*wskazując pawilon*)

Tak, z tą wszystko będziesz mógł słyszeć.

NEUBOURG.

Ah! żono, zawstydzasz mię.

AMELJA.

Proszę... (*zartując*) niech pan małżonek staje pode drzwiami, Fryderyk idzie, dalej.
(*Neubourg odchodzi do pawilonu.*)

SCENA XIX.

AMELJA, FRYDERYK.

FRYDERYK.

(do służącego który z nim wchodzi i oddala się natychmiast.)

Ale nie, powiadam ci, to nie jest jej ręka!
(sposstrzegając Amelję) Amelja!

A M E L J A.

Przybliż się Fryderyku!

FRYDERYK.

W położeniu w jakim jesteśmy oboje, chciałem opuścić zamek i nie widzieć się z Panią.

A M E L J A.

Rozumiem; lecz ja niemając tychże samych powodów do unikania krewnego, którego moja matka zaszczycała niegdyś swoją przyjaźnią, cieszę się że go widzę; i nim się oddalisz, pragnę abyś mi wyjaśnił twoje szczególniejsze postępowanie.

FRYDERYK.

Szczególniejsze!... jakież nazwisko nadam postępowaniu pani?

A M E L J A.

Moje jest zwyczajném,

FRYDERYK.

Te wzajemne wymówki są zbytteczne; przez

litość, Ameljo, racz przyjąć moje pożegnanie.

A M E L J A.

Nie, Panie Fryderyku, nie przyjmę go...
trzeba w przód, ażeby P. Neubourg...

F R Y D E R Y K.

Bądź Pani spokojną... wszystko wziętem na
siebie... Ułożyłem powieść która nie miała
w sobie ani jednego słowa prawdy.

A M E L J A.

A więc chciałeś mię zgubić?

F R Y D E R Y K.

Ja zgubić cię, Pani! zaprzeczając temu com
powiedział, przysięgając ci ze względem na-
szej korespondencji wieczne zachowam mil-
czenie.

A M E L J A.

Ale ja wcale do Pana nie pisałam.

F R Y D E R Y K.

Lecz dla czegoż to udawanie? nie mówię
gdyby twój mąż nas podsłuchiwał...

N E U B O U R G. (n. s.)

Wistocie jestem na tym stanowisku.

A M E L J A.

Oh jesteś najzłośliwszym ze wszystkich męż-
czyzn!

F R Y D E R Y K.

Jestem najwspanialszym, i na dowód daję
ci Pani dobrą radę.

A M E L J A.

Rade?... mnie?

F R Y D E R Y K.

Najlepszą ze wszystkich... nie dowierzaj Pa-
ni twojemu mężowi.

N E U B O U R G. (*n. s.*)

A to co się znaczy... znowu coś nowego.

A M E L J A.

Kuzynku, czyś ty głowę stracił?

F R Y D E R Y K.

Ja wiem co mówię... Nie dowierzaj twoje-
mu mężowi, twoim służącym, wszystkiemu co
cię otacza... to jest potrzebnem do spokojno-
ści waszego małżeństwa. Pan de Neubourg
zastawił na mnie sidła!

A M E L J A.

To byź nie może!

F R Y D E R Y K.

Ale nas nie tak łatwo złapać... Pan de Neu-
bourg, przybierając twoje imie, przysłał mi niby
od ciebie ten bilet. (*otwierając papier*)

A M E L J A.

Mylisz się, to jest odemnie.

F R Y D E R Y K.

Od ciebie!... Jakbym ja nieznał twojej rę-
ki...

AMELJA, (z *niecierpliwiona*)

Ale ja upewniam cię...

FRYDERYK.

Jesteś w błędzie. To zupełnie niepodobne do twojego pisma... Od dwóch lat powinienem je znać przecię i w tej chwili nawet mógłbym cię zawstydzić...

AMELJA. (*żywo*)

Zawstydzić mię!.. jakim sposobem?

FRYDERYK.

Porównywając te dwa pisma.

AMELJA. (*niecierpliwa.*)

Dwa pisma?

FRYDERYK. (*poważnie.*)

Ameljo, po tym co się stało, twoje listy nie powinny dłużej znajdować się w moich rękach. Jakiegokolwiek bądź cierpienia będą moim udziałem, twoja spokojność, twoje szczęście wymagają tej ofiary. Te listy miały ci być oddane po moim odjeździe.. przyjmij je z rąk moich.

AMELJA. (*wyrywając*)

Dawaj.. dawaj więc! (*otwiera list*) Co widzę! (*śmieje się mocno*) Ha! ha! (*obraca-
jąc się do pawilonu*) Mój mężu!

FRYDERYK. (*postrzegłszy Hrabiego*
Pan de Neubourg!

NEUBOURG.

On sam!

FRYDERYK.

Mąż był na swoim stanowisku.

AMELJA, (*dając mu listy*)

Patrz... listy mojej siostry.

NEUBOURG.

Pauliny? (*śmieje się*)

FRYDERYK.

Pauliny? Czy byż może?

SCENA XX.

ZOSIA, NEUBOURG, PAULINA, AMELJA,

FRYDERYK.

ZOSIA. (*przebiegając z prawej.*)

Panie Hrabio... jest tu pewna osoba która
nie śmie się przybliżyć.

PAULINA, (*wchodzi i rzuca się w objęcie*
Amelji.)

Siostro, kochana siostro... nie gniewasz się
na mnie?

Tom VII.

5

A M E L J A.

Nie mówmy o tém.

F R Y D E R Y K.

Jakto? moja luba kuzynko... a więc to ty...

A M E L J A.

Tak, kuzynie, jej to listy zawróciły ci głowę, jej zaprzysięgłeś życie twoje poświęcić.

F R Y D E R Y K.

Pozwólcieź mi teraz odebrać korespondencją, z którą tylko honor kazał mi się rozłączyć.

A M E L J A. (*do Pauliny z cicha*)

Widzisz, żeby się był nie zabił. (*oddaje listy mężowi*) Oddamy ci ją wkrótce (*do Pauliny*) Cóż mówisz na to?

P A U L I N A.

Ja za ciebie tyle razy odpowiadałam, teraz ty odpowiedz za mnie, bo ja się wstydzę.

A M E L J A.

Czy pójdziesz za niego?

P A U L I N A. (*z cicha*)

Eh jak można nawet pytać się o to? pójdę, pójdę.

N E U B O U R G.

Ja biorę na siebie obowiązek załagodzić wszystko. (*pokazując dwa pakiety*) Całą korespondencją mam przy sobie.

Z O S I A.

Chwała Bogu. To się daleko lepiej skończyło jak u sąsiada Iózefa. Ah żebym to ja jeszcze znalazła sposobność do takiej korespondencyi.

K O N I Ę C.

LEKTORKA

CZYLI

PUSTOTA MŁODZIKA.

KOMEDIA

W DWÓCH AKTACH.

z francuzkiego

P. Bayard.

TŁUMACZONA.



GRANA PIERWSZY RAZ

W WIELKIM TEATRZE

dnia 23 Lipca 1835 roku.

O S O B Y.

KAPITAN SIR COBRIDGE, sta- rzec niewidomy	JP. Kudlicz.
CLACTOWN, jego siostrzeniec,	JP. Żółkowski.
EMILJA,	JPa. Dobrzańska.
LADY GERALD,	JPi. Żółkowska.
ARTUR, Oficer jej siostrze- niec,	JP. Piasecki.
EDGAR, jego przyjaciel	JP. Bogusławski.
TOMY, służący Lady Gerald,	JP. Jędrzejewski.
Przyjaciele Artura. Służący.	

Rzecz dzieje się w Szkocji.

(w akcie 1szym u Lady Gerald, w 2gim u Sir
Cobridge.)

LEKTORKA

CZYLI

PUSTOTA MŁODZIKA

AKT I.

(Scena przedstawia salon Lady Gerald. Drzwi w głębi i boczne. Na przodzie sceny po lewej stronie aktorów stół, i na nim wszystko co potrzebne do pisania)

SCENA I.

ARTUR, EDGAR I KILKU MŁODZIEŻY.

(wychodząc drzwiami z lewej strony)

EDGAR.

Brawo Arturze, śniadanie było wyborne!

ARTUR

Prawda! Porto doskonałe!... No! teraz je-

steśmy gotowi do polowania. Przysięgam na Świętego Dunstana, że będzie pomyślne.

E D G A R.

Jak wczoraj, mój biedny Arturze. (*śmieją się*)

A R T U R.

Oh! wczoraj to co innego!...nieznałem prawie tej przeklętej Szkocji; od kilku dni dopiero przybyłem do milady Gérald mojej ciotki, która od dawna prosiła mię usilnie, abym przyjechał tutaj w góry, przepędzić czas urlopu. Trzeba więc pierwej poznać okolice, i należało to uczynić nim was zaprosiłem, was młodych i bogatych mieszkańców sąsiedniego miasta, abyście dzielili ze mną rozkosze polowania. Ale nic nie szkodzi, nie żałuję tego wczesnego zaproszenia, obieglśmy razem wszystkie pola, a jeżeliśmy nic nie zabili, przynajmniej mieliśmy czas i przyjemność poznać się. Albowiem teraz, między nami przyjaźń dozgonna! nie prawdaż? (*podaje im rękę*)

E D G A R.

Tak jest dozgonna!

A R T U R.

Oh! śmiejecie się?... zadziwia was moja wesołość, moja szczerłość, was przywykłych do

ponurych i zamyślonych twarzy oficerów Angielskich. Nie pojmujecie tego, że ja, Porucznik w służbie króla Anglii, uwłaczam nawykniom moich współkolegów... przyczyna, że jestem Anglikiem tylko ze stopnia i ubioru. Mój ojciec służył w wojsku Szkockiem, miał za żonę Francuzkę, a ja, ujrzałem światło dzienne na okręcie królewskim. Dla tego też przebywam ten świat jak wesoly kosmopolita, nie wiedząc gdzie jest moja rodzinna ziemia; mam przyjaciół, gdzie mię uciechy wzywają, a mają ojczyznę, gdzie mi się dobrze powodzi.

E D G A R.

To zapewne znajdziesz ją w naszych górach Arturze!

A R T U R.

Z całego serca... a potem, najbliższy dziedziec mojej ciotki, która jeżeli Bóg mię wysłucha, długo jeszcze da mi czekać na swoje dziedzictwo i tytuły... jestem naturalnie w krainie moich nadziei i moich własności, i często mię tu widywać będziecie. Lubię ten zamek, te pyszne posiadłości... i odkąd tu przybyłem, nie nudziłem się ani chwili... Tak jest, jednakże... tego rana gdym się obudził...

E D G A R.

Być nie może! Ty, co jesteś zawsze tak wesoły!...

W S Z Y S C Y.

Cóż takiego zasmuciło cię?

A R T U R.

Oto...uwagi filozoficzne nad osobami zamieszkującymi ten zamek. Ród ludzi, z godnością tu jest przedstawiony, nie mówię to...z jednej strony... z naszej; o! my wszyscy w ogólności jesteśmy bardzo przyjemni; ale z drugiej...

WSZYSCY. (*śmiejąc się*)

Ha! ha! ha! ha!

E D G A R,

Tó są uwagi filozoficzne?

A R T U R.

Cóż chcecie?...lubię uważać naturę w pięknem świetle....Moja ciotka nie brzydka... na ciotkę... Oh! w istocie nazbyt wiele mam dla niej szacunku, abym miał mówić przeciwnie. Prócz tego wiek podeszły jest święty. (*z gniewem*) Ale te wszystkie stare figury ją otaczające, to jest nie godnie!... rzecz straszna!... wszystko najmniej ma po pięćdziesiąt lat!... ani jednej ładnej twarzyczki! ha! co za zbiór ludzi!

Ale porzucmy to, niech nas inne zabawy pocieszają. Jedźmy na polowanie!

W S Z Y S C Y.

Jedźmy!

A R T U R

Żałuję, że nie ma z nami naszego sąsiada młodego Clactown, najodważniejszego strzelca w całym kraju.

E D G A R.

Co? tego małego *fashionable* wiejskiego, któregośmy zaprosili? Prawda, że on zda się, lepiej znać twoją własność a niżeli ty.

A R T U R.

Bardzo wierzę! Moja ciotka pozwala mu wypróżnić swoje posiadłości... i jak mogliście już osądzić, nie źle dopełnia tego. Ale z resztą wesóły towarzysz. Każę mu powiedzieć, aby się z nami złączył w lesie Sgo Andrzeja.

(*spozrzega Tomy wchodzącego drzwiami z prawej strony*)

Właśnie jego potrzeba było do tego.

SCENA II.

TOMY, ARTUR, EDGAR, MŁODZIEŻ.

T O M Y. (*odpowiada do gabinetu*)

Dobrze Milady! za małą godzinę! (*Artur bierze go za kark*). Ah! mój Boże!

A R T U R.

Śluchaj mię Tomy!

T O M Y.

Wasza wielkość jest tak wesołą... Myślałem że mnie udusi.

A R T U R.

Ty znasz Pana Clactown, który mieszka z tąd o dwie mile?

T O M Y.

Siostrzeniec ślepego...

A R T U R.

Co jego wuj jest niewidomy?

T O M Y.

Tak Milordzie, były kapitan okrętowy, utracił wzrok po bitwie pod Nawarynem gdzie go zostawiono jako umarłego... Mieszkał w Anglii... ale od roku przybył tu, i jest przy swoim siostrzeńcu.

E D G A R.

Ah! Kapitan Cobridge! który jak mówią wiele dobrego wyświadcza w kantonie?

T O M Y.

Tak, ten sam... Ale to jest prawdziwy niedźwieź!... zawsze smutny... nieprzystępny... zamyka się w swoim domu jak w fortecy, gdzie nikomu wejść nie wolno. A nasza pani chociaż tyle razy go zapraszała, nigdy nie dał się nakłonić aby ją odwiedził.

A R T U R.

Zrozumiałbym to, gdyby nie był niewidomym. Ale ja go odwiedzę... lubię starych marynarzy., Czy niema on przy sobie córki albo siostrzenicy przypadkiem?...

T O M Y.

Nie... ma tylko siostrzeńca, ten nie odstępuje go ani na krok. Kapitan chce aby zawsze był przy nim, aby mu czytywał, albo słuchał opowiadania jego podróży morskich.

A R T U R.

No, na dziś musi mu dać urlop... Wsiądziesz na konia...

T O M Y.

Ja Milordzie?

A R T U R.

Cicho!... Pojedziesz do rezydencji kapitana

T O M Y.

Ale...

A R T U R.

Będziesz ty milczał? Powiesz jego siostrzeńcowi...

T O M Y.

Ale to niepodobna!

A R T U R.

Co!

T O M Y.

Bo Pani posyła mię do poblizkiej wioski.

Tom VII.

6

A R T U R.

Leniwcze... kłamiesz!

T O M Y. *(pokazując dwa listy)*

Patrz Pan! mam zanieść te dwa listy. Jeden jest do jej pełnomocnika względem tego wielkiego procesu, dla którego wszyscy może pojedziemy do Edynburga, a drugi...

A R T U R. *(biorąc list)*

Tak, prawda! *(czyta adres)* „Miss Emilji Volsej.“ Emilja, przedziwnie!... Śliczne imię dla młodej osoby. *(patrzac na Tomy)* Albowiem... ona jest młoda? he?... nie ma jeszcze czterdziestu lat?

T O M Y.

Gdzie tam! Słyszałem jak Pani mówiła, że to ma być bardzo ładne i młode stworzenie.

A R T U R.

Co?... i tu mieszka!... moja ciotka ją zna?... a my jej nie widzimy!

T O M Y.

Nie dawno przybywszy z Francji, pisała do naszej pani, która ją wzywa do siebie.

A R T U R.

Wzywa ją do siebie... tu?... ah! prędko Tomy jak najprędzej, jedź! chociażby koń padł pod tobą.

Ależ panie...

ARTUR. (*wypychając go*)

Jedź! śpiesz!... powiedz, że jej oczekują... niech przyjeżdża... albo postaram się u twojej pani, aby cię kazała wypędzić! (*Tomy wychodzi środkowymi drzwiami.*) Młoda i ładna... do krośset katów! z rozkoszą ją zobaczę... chociażby tylko dla tego, że widok ładnej kobiety jest tu rzadkiem zjawiskiem.

SCENA III.

EDGAR, ARTUR, MŁODZIEŻ.

E D G A R.

Słuchaj Arturze! Ten mały wypadek rozweseli twoje filozoficzne uwagi.

A R T U R.

Oh! to nie!... Cóż, jedziemy panowie?... bierzmy broń. (*na stronie*) Emilja!...

E D G A R.

To imie cięży ci na sercu.

A R T U R.

To prawda, wyznaję. Jest wiele takich imion... Anna, Jenny, Kamilla, wszystkie rozkosz budzą we mnie, to szczególna!...

E D G A R.

Nic dziwnego, myślę bowiem, że to są pamiątki...

A R T U R.

Tak jest, ja lubię pamiątki. Każde imię przypomina mi, jakąś utarczkę w miłościach...

E D G A R.

Która jednak nie zawsze kończyła się zwycięstwem.

A R T U R.

Tak myślisz?... wistocie... czasem... a nawet jedno z tych imion... nie powiem wam które, przypominało mi zupełną porażkę.

E D G A R.

Zapewne młode dziewczę...

A R T U R.

Nie... Ta była już za mężem. W Anglii... przed rokiem... kiedy stałem garnizonem w mieście, w którym nudziłem się straszliwie, tak jak dziś rano... pewnego dnia poznałem u bogatego negocjanta młodą osobę, której postać mdlejąca, natychmiast mię zajęła. (*Edgar odwraca się i śmieje.*) Nie śmieję się, nie. Zajęła mię prawdziwie. Piękne czarne oczy... postać zachwycająca!... Dowiedziałem się, że jej mąż

jest najzdrośniejszym człowiekiem w całej W. Brytanii... to bynajmniej nie wstrzymywało mię, abym jej nie miał widywać. Przeciwnie, a nawet kilkakrotnie... mówiłem z nią z pewnym rodzajem politowania, który, zdawał się ją wzruszać. Nakoniec, wyznałem, że ją kocham.

E D G A R.

Coś bardzo powolnie zbliżałeś się do tego. Odpowiedziała ci?...

A R T U R.

Ażni słowa. Ale jej wielkie oczy pełne łez dodały mi odwagi. Nalegałem, błagałem o rendez-vous, odrzuciła, to, rozjątrzyło tylko moją miłość. Prócz tego odmówienie jeszcze nie dowodzi. Dla tego też dzień przed wymarszem, postanowiłem szturmem pozyskać pożegnanie. Jej męża wtenczas nie było...

(*Lady Gerald wchodzi z prawej strony i zwołana idzie na przód*) Wcisnąłem się do ogrodu, i za pomocą drabinki ogrodnika...

SCENA IV.

LADY GERALD, I DAWNIEJSI.

L. GERALD. (*niepostrzeżona*)

Wszedłeś oknem?

6*

A R T U R.

Ah! moja ciotka.

E D G A R.

Pani!...

L A D Y.

Czyż nie tak zwykle się zaczyna?

A R T U R.

I tak się często kończy... ale trzeba, żeby się okno natychmiast otworzyło.

L A D Y.

Nie otworzyło się?

A R T U R.

A jednakże pukałem tak tklwie... Ten lekki szmér, który zda się mówić: »to ja...« Wiesz moja ciotko?

L A D Y.

Przeciwnie! Nie wiem wcale.

A R T U R.

Ab! przebacz! Dzień już się ukazywać zaczynał; godzina wymarszu zbliżała się... musiałem zejść z drabiny zziębnięty cały, było siedmnaście stopni mrozu.

E D G A R.

Biedny Artur!

L A D Y.

I nie lękałeś się okryć zniewagą kobiety, może czci godnej?

EDGAR. (*do Artura cicho*)

A ha! kazanie!...

L A D Y.

Bo wy tacy jesteście Panowie! Nierozważni, zuchwali, nie pomyślicie nawet, że w końcu tylko rozpacz i łzy stają się udziałem przedmiotu waszych ułudzeń.

A R T U R.

To się weselej kończy moja ciotko.

L A D Y.

Życie całe znieśławione!...

A R T U R.

Nigdy! przynajmniej przezemnie... Nie mam na mojem sumieniu żadnego występku! Żadnego!

L A D Y. e

Honor kobiety.

A R T U R.

Ręczę za siebie. Nigdy zgryzota nie wcisnęła się do mego serca. Zawsze umiejące milczeć, tkliwe i wierne. Miałżebym stać się nie-szczęściem piękności? ja, który chciałbym życie moje dla niej poświęcić? Nie. Często kobiety błogosławiły mnie; a jeżeli czasem płakały, to dla tego tylko, że i rokosz nam łzy wysącza.

L A D Y.

Jesteś pustak!

A R T U R.

Ale dla tego rozsądny.

L A D Y.

Chciałeś powiedzieć uczciwy.

A R T U R.

Do kata!... i ty moja ciotko będziesz tu miała ładną osobę... będę ją kochał... uwielbiał... napróżno zechcesz czuwać nad nią... śledzić... nie domyślisz się nawet.

L A D Y.

Jakto? (*do siebie*) Lękam się!..

E D G A R.

O Nieba!... jakieś krzyki! (*patrzy przez okno w głębi*) Powóz, tylko co się ma przewrócić.

(*wybiega a zanim młodzieź*)

A R T U R.

Ah! to Emilja może!

L A D Y.

Emilja... jakże wiesz?

A R T U R,

Tak moja ciotko! tak. Ta młoda panna Volszej, której oczekujesz... (*poruszenie Lady*) biegnijmy na pomoc... (*Artur i Lady chcą wyjść gdy Clactown wchodzi i zatrzymuje ich*)

SCENA V.

ARTUR. CLACTOWN. LADY.

CLACTOWN. (*w ubiorze myśliwskim*)

Nie czyńcie sobie przykrości, nie ma niebezpieczeństwa.

LADY.

Pan Clactown.

ARTUR.

Nasz młody sąsiad.

LADY.

Ależ ten powóz?...

CLACTOWN.

Ale to nie powiadam, to mój wuj...

LADY

Pan Cobridge?

CLACTOWN.

Mały przypadek, którego ja nieco jestem przyczyną.

ARTUR.

Jakto?

LADY.

Ale naprzód pomocy...

CLACTOWN.

Nie potrzeba żadnej... nic złego. Wyobraźcie sobie państwo, to jest historja. Mój wuj kapitan, chce koniecznie, abym zawsze był przy nim, czytał mu, albo słuchał opowiada-

nia jego bitew. Co mnie tak bawi, że aż mnie szczęki bolą od poziewania. Każę mi czytać Szekspira, lub Milтона, drugiego niewidomego jak on... no i co mi za towarzystwo!... śliczne... szczególnie dla mnie, który mam oczy pyszne. A potem, nie chce przyjmować nikogo, sam nie wychodzi, gniewa się zawsze... Nakoniec jest to starzec naj... co nieprzeszkadza wcale abym nie miał dla niego względów, jakie się należą wujowi, którego się kocha, i po którym się odziedzicza.

ARTUR. (*parsknąwszy śmiechem*)

Ah! ah! pan jesteś jego dziedzicem?...

C L A C T O W N.

Jedynym. To znowu inna historia... Myślano że on się ożenił na jakiej pustej wyspie, i że nawet jest ojcem ogromnej liczby dzieci, bo marynarze... otóż wcale nie... Jednego dnia, spadł nam jak bomba... nie znałem go, nigdy go nawet nie widział! »Jestem sam na świecie, rzekł do nas, przybywam umrzeć obok was, zostawię wam mój majątek, bo jestem bogaty» Domyślicie się państwo, że krewny kiedy się tak odezwie...

L A D Y.

Ale panie Clactown, cóż mu się teraz wydarzyło?

C L A C T O W N.

A! to znowu inna historja. Oto tak: od niejakiego czasu, ani na krok nie chce mnie puścić od siebie... i już uległem jego chęci, gdy wczoraj odbieram zaproszenie pana Artura na polowanie, i na dobry obiad. Uwielbiam polowanie, a dobrymi obiadami nigdy nie gardzę, to się jeszcze na mnie nie pokazało. Jednak jakim sposobem wymknąć się wujowi, albo go tu sprowadzić?... Przychodzi mi myśl do głowy... zaproponowałem mu przejażdżkę; przyjmuje. Siadamy do powozu, każe jechać na prawo, dobrze! jedziemy na prawo. Ale przybywszy do lasu Sgo Andrzeja, zwracam na lewo, tak, że tego nie spostrzegł i kierujemy do zamku pani jadąc w poprzecz. Na nieszczęście, im bliżej dojeżdżaliśmy, drogi stawały się coraz przykrzejsze, aż nareszcie niedaleko gołębnika, trafił... nasz niezgrabny stangret wywraca na siano które zapachem napełniało powietrze.

A R T U R.

Ale nie skaleczyłeś się?

C L A C T O W N.

To znowu inna historia... mam guza na czole...

L A D Y.

A wuj pana?

C L A C T O W N.

Jemu nic. On się na mnie obalił, i ja bez gniewu leciałem sobie do ziemi, nogi w górze, głowa na dół, bo nie myślałem, że Belizarjusz spadnie mi na plecy. A co najbardziej mnie bawiło to to, że ja sobie głowę rozbiłem, a mój wuj krzyczał do upadłego, i jeszcze za pewne krzyczy na robotników... klnie, gniewa się, bo niemogą natychmiast naprawić powozu. Ale już ja tam wszystko rozporządziłem.

L A D Y.

I on tak został na dworze?

C L A C T O W N.

Żadnym sposobem nie chciałem tu wejść ze mną... dla tego chciałem prosić pani, byś gorączyła zaprosić do siebie.

A R T U R.

Natychmiast!... Czy idziesz ciotko?

L A D Y.

Bez wątpienia!... Idź powiedz mu, że go czekam... a jeżeli będzie potrzeba... sama...

C L A C T O W N.

Zapewnie zostanie tu.

(*Artur i Clactown wychodzą, kiedy Lady Gérald chce odejść za niemi, Tomy wchodzi drzwiami z lewej strony,*

SCENA VI.

LADY, TOMY, później KAROLINA.

T O M Y.

Milady...

L A D Y.

Ah! to ty!

T O M Y.

Oddałem list pani, plenipotent dziś w wieczór przyjedzie; oświadczył mi: że pani musi tej nocy wyjechać do Edynburga, względem tego wielkiego procesu, który po jutrze ma być sądzony.

L A D Y.

Jakto! tak prędko?

T O M Y.

Co zaś do młodej osoby...

L A D Y.

Cóż?

T O M Y.

Chciała jechać natychmiast... jest tu.

L A D Y.

Tu? Ach, przykro mi prawie, że teraz kiedy mój siostrzeniec...

Tom VII.

7

T O M Y.

O! óż ona!

(Emilja wchodzi drzwiami z lewej, Tony wychodzi)

L A D Y.

Ah! Miss wyznaję, że niespodziewałam się ciebie tak prędko. Ale dziękuję, za ten pośpiech.

E M I L J A.

Wszystko mi go nakazywało Milady. Ten list uprzejmy, który do mnie napisałaś... raczyłaś więc pamiętać o mnie.

L A D Y.

Czyliżem mogła zapomnieć? Ty we Francji byłaś o mnie tak troskliwą... a jednakże zdawałaś się natenczas wiele cierpieć!... żalowałam cię, a szczególnie dla tego, żeś się zobowiązała do Lady Brown mojej kuzynki, kobiety najzłośliwszej.

E M I L J A.

Milady, ja tylko wdzięczność czuję dla niej, przyjęła mię do siebie wtenczas, kiedy nie miałam żadnego przytułku.

L A D Y.

Jakież były twoje zatrudnienia?

E M I L J A.

Przyjęła mię do czytania.

L A D Y.

Otwoich cnotach, o twoim sposobie myślenia, z rokoszą dawano mi pochwały, i we Francji którą opuściłaś, zapewne z żalem cię pożegnano. My zatrzymamy cię, twój los tak potrafi zająć każdego, że wszystkich serca zniewolisz ku sobie. *(na stronie)* I pewna jestem, że mój siostrzeniec zapewneby ją pokochał.

E M I L J A,

Milady!...

L A D Y.

Ale pragnęłaś pomówić ze mną.

E M I L J A.

Tak jest Milady. Po śmierci twojej kuzynki Lady Brown, której towarzyszyłem do Szkocji, zostałam sama, bez schronienia...

L A D Y.

Nie pomyślałażeś o powrocie do Anglii... na łono twojej familji...

E M I L J A.

Mojej familji!... nie mam jej Milady!... ale kiedy wymówiono twoje nazwisko, przypomniałam sobie życzliwość, którą mię zaszczyciłaś... i sądziłam, że mogę zgłosić się do ciebie, Milady.

L A D Y.

I słusznie uczyniłaś. Będę się starała umieścić cię gdzie jako pannę do towarzystwa... do czytania... poszukam... zobaczę... czyli między damami które znam... na nieszczęście bardzo mało widzę podobnych.

E M I L J A.

Ale mówiono mi, że ty sama Milady...

L A D Y. (*zmieszana*)

Ja... bezwątpienia... ale później... w tej chwili wyjeżdżam... a potem są inne jeszcze przyczyny... (*na stronie*) Tak piękna!... (*Emilja ociera łzy*) Cóż ci to jest? przyrzekam zająć się tobą... za powrotem... będziesz na mnie czekała...

E M I L J A.

Milady!... nie mam żadnego schronienia! jestem sama na świecie.

L A D Y.

Wielki Boże!... Ah! ja cię nie opuszczę!... Słyszę idących... już wracają...

E M I L J A.

Milady masz gości, moja obecność jest nadretną!...

L A D Y.

Co mówisz? Dziecię jesteś! zostaniesz tu

przynajmniej do wieczora. (*dzwoni, Emilja przechodzi na prawą stronę aktorów*) Muszę koniecznie wynaleźć dla ciebie stosowne miejsce. (*Tomy wchodzi*) Zaprowadź pannę do mego pokoju. Idź Miss, idź! za chwilę przyjdę do ciebie.

E M I L J A.

Dobrze Milady! (*n. s.*) Ah! nie tego się spodziewałam.

(*wychodzi z służącym przez drzwi na prawo*)

L A D Y. (*sama*)

Z kimże pomówię o niej?... komu?... a mnie?... to niepodobna!...

SCENA VII.

LADY, ARTUR, SIR COBRIDGE, CLACTOWN.

EDGAR, MŁODZIEŻ, TOMY.

(*wchodzi pierwszy*) Milady, oto mój Wuj!

ARTUR. (*prowadząc Sir Cobridge*)

Nie nie pomoże Kapitanie, trzeba się poddać. Pozwól się prowadzić...

C L A C T O W N.

Tak, pozwól się prowadzić... będziemy mieli nocleg wyborny... nie-mogliśmy lepiej trafić.

SIR COBRIDGE.. (*z gniewem*)

Niegodny!

A R T U R.

Kapitanie, jest tu Lady Gérald moja ciotka, bardzo się cieszy, że cię przyjąć może.

COBRIDGE. (*zdejmuje kapelusz*)

Lady Gérald!

L A D Y.

Bez gniewu Sir Cobridge, bo i ja miałabym prawo uskarżać się na niego. Tak uporczywie wzbraniałeś się odwiedzić mię.

C O B R I D G E.

Ale Milady... zdaje mi się, że teraz właśnie...

A R T U R. (*patrzy na Clactown*)

Tak, ale to przypadek działał. (*Clactown daje mu znaki*) i gdyby nie pomysł pańskiego siostrzeńca...

C L A C T O W N. (*prędko*)

Siadajże mój wuju! (*przymusza go siedzieć*)

C O B R I D G E.

No!... on mnie jeszcze przewróci... idź, i przynaglaj robotników...

C L A C T O W N,

Dobrze mój wuju. (*do Artura cicho*) Bądźże cicho!

L A D Y.

Oh! nie myśl Kapitanie, że ci tak pozwoli-

my odjechać... dziś do mnie należysz, nie opu-
szczę cię... dzień ten razem przepędzimy.

A R T U R.

Twój siostrzeniec pójdzie z nami na polo-
wanie.

C O B R I D G E.

Mój siostrzeniec?... to być nie może... nie
przygotowany...

C L A C T O W N.

I owszem mój wuju!... Strzelba jest w po-
wozie, suknia myśliwska na mnie...

A R T U R

Nic nie brakuje.

C O B R I D G E.

Czy tak?!... więc to było ułożone?...

C L A C T O W N.

Tak, to było ułożone...

COBRIDGE. (*z gniewem*)

Jakto! nicdobrego, i ta droga przez pola;
pojazd wywrócony?...

CLACTOWN. (*cicho do Edgara*)

Dobrze widzi rzecz całą... dobrze widzi!
(*śmieje się*)

C O B R I D G E.

Nędzny!... jeszcze się śmieje!

L A D Y.

Uspokój się kapitanie! Ja dziękuję mu za

ten pomysł, który wyrwa cię na chwilę z twojego ustronia, i pozwala nam cieszyć się twoją towarzysztwem.

C O B R I D G E

Cieszyć się!... Tak właśnie... Ale Milady nie wiesz na co się wystawiasz. Towarzystwo niewidomego starca, jest smutną rzeczą, często łaje, uśmiechu nie widać na jego twarzy, a serce zawsze przepelnione udęcującymi wspomnieniami...

L A D Y.

Co mówisz?...

C O B R I D G E.

Widzisz paui!... już się zaczyna... kilka moich słów, już ostudziło wesołość tej płochy młodzieży.

A R T U R.

Powrócimy ci swoją... a dziś w wieczór z kielichem w rękę, opowiesz nam jaki ustęp z twoich kampanji, to będzie przyjemnością dla wszystkich, a dla mnie nauką, jako dla Porucznika Króla Anglji.

C O B R I D G E.

Ty młodzieńcze... jesteś żołnierzem, porucznikiem!.., Kolego, ach! podaj mi dłoń. (*podaje rękę, którą Artura ściska.*)

A R T U R.

Z roskoszą Kapitanie .

C O B R I D G E.

Wiele masz lat?

A R T U R.

Dwadzieścia cztery.

C O B R I D G E.

Dwadzieścia cztery lat i szpada.... jakaż przyszłość, ile nadziei. Kiedy ściskam czasem dłoń młodego kolegi, zdaje mi się, że znika siwizna moich lat, zapominam cierpień, krew wre we mnie, serce uderza gwałtownie, przygasłe oczy skropione słodkimi łzami, odzyskują ogień, a na odgłos broni, zdaje mi się, że jeszcze jestem w gronie moich współtowarzyszów. Ach! wtenczas nie byłem tak nieszczęśliwym....

C L A C T O W N.

Nieszczęśliwy... pytam się czego ci nie dostaje... jesteś spokojny... bogaty... masz siostrzeńca, który najmniejszych życzeń twoich dopełnia... to dziecię twoje...

C O B R I D G E.

Przestań...

C L A C T O W N.

Twoja rodzina...

C O B R I D G E.

Pozostań mówię...

LADY. (*zbliżając się do Cobridge.*)

Ciesz się to Kapitanie, że Artur ci się podobał, przynajmniej dla niego zatrzymasz się u mnie.

C O B R I D G E.

Bez wątpienia Milady... on jest na urlopie?

A R T U R.

Jeszcze przez miesiąc, po tem muszę wrócić do pułku.

C O B R I D G E.

Do pułku?... w którymże?...

A R T U R.

W dwudziestym dragonów.

C O B R I D G E.

Dwudziesty dragonów!...

A R T U R.

Najpiękniejszy pułk i najwaleczniejszy z całej armji,

COBRIDGE. (*wstając z żywością.*)

Pułk nieczemników!... ludzi bez serca!...

A R T U R.

Co słyszę!...

W S Z Y S C Y.

O Nieba!

C L A C T O W N.

Mój wuju!

C O B R I D G I E.

Tak nikczemników!... tchórzów!... powiedziałem i powtarzam.

A R T U R.

Kapitanie, Kapitanie! zaponinasz że służę w tym pułku!

C O B R I D G I E.

Tém gorzej dla ciebie... nie znam cię, a jeżeli należysz do liczby tych niegodnych, którzy czynią sobie igraszkę z honoru...

A R T U R. (*przerywa*)

Nigdy!... i gdyby kto inny nie ty, odezwał się do mnie w ten sposób, wiem, co by mi nakazywała moja powinność, i żaden z moich kolegów nie zniósłby...

C O B R I D G I E.

Ah! gdyby mię wszyscy słyszeć mogli!... i aż do ostatniego przychodzili wyzywać gniew starca, który niemi gardzi...

A R T U R.

Mości panie, dowiedz się: że wszyscy oficerowie tego pułku, mają prawo do szacunku całego kraju. Męstwem odznaczyli się w boju, a dobrem obywatelstwem w Anglii.

C O B R I D G E.

Wszyscy...

A R T U R

Niech zaświadczą miasta które zajmowali.
Derby... Worcester... Warwick... Lincoln...

COBRIDGE. (*głosem piorunującym*)

Lincoln! (*ogólne poruszenie przestachu.*)

C L A C T O W N.

Mój wuju!...

W S Z Y S C Y.

Kapitanie!

C O B R I D G E.

(*głosem przytłumionym i upadając na krzesło*)

Lincoln! (*kryje twarz w dłoń*)

CLACTOWN (*do Edgara*)

On nie bardzo grzeczny.

(*chwila milczenia. Młodzież otaczając Ar-
tura stara się go uspokoić*)

L A D Y.

No, panowie, już późno, zapominacie o po-
lowaniu.

C L A C T O W N.

Milady słusznie mówi... lepiej gonić za danie-
łami jak gniewać się.

A R T U R.

To prawda!... bo też to jest szaleństwo!
(*zbliża się do kapitana i bierze go za rękę*) Ka-

pitanie, wszakże nie myślisz tak jak mówiłeś? Nie chciałeś mię obrazić? mnie którego serce czyste i szczere, nie ma sobie nic do wyrzucenia.

COBRIDGE. (*przyszedłszy do siebie, spokojnie.*)

Młodzieńcze, ani ciebie, ani żadnego z twoich przyjaciół; ale są miejsca, nazwiska, które dochodzą aż do głębi serca, i taką nienawiść budzą!... zegniam cię... zegniam.

A R T U R.

Do wieczora Kapitanie. (*n. s.*) Co za szaleństwo... starzec ten...

C O B R I D G E.

Clactown, Clactown...

C L A C T O W N.

Mój wuju...

C O B R I D G E.

Zobacz czy powóz już gotów... jedźmy.

C L A C T O W N.

Jakto, mamy jechać? a polowanie,... miałem iść z tymi panami... idę... pozwoliłeś mi...

C O B R I D G E.

Clactown.

C L A C T O W N.

Tak mój Wuju, pójdę!... Żeby komu za-

bawę sprzątnąc z przed nosa,... to się nie go-
dzi, to nie można...

LADY. (*do Cobridge.*)

Uspokój się Kapitanie, zostanę przy tobie,
aż do ich powrotu z polowania.

A R T U R.

Nie długo damy czekać na siebie. (*naprzoz-
dzie sceny*) Niewiem... ale już nie mam ocho-
ty biegać po polu. (*głośno*) Wróćmy do we-
szości, dopóki nasz gość, nie da nam zadość
uczynienia przy stole.

TOMY (*wchodząc*)

Milordzie już wszystko gotowe.

A R T U R.

Dobrze. (*biorąc Tomy na bok*) Powiedz mi,
to młode dziewczę z czarującymi oczyma... wi-
działeś ją?... oddałeś jej list?... gdzież ona jest?
czy przyjdzie wkrótce?

LADY. (*dosłyszawszy.*)

To do ciebie nie należy. (*Artur zmieszany*)
Prócz tego donoszę ci, że tej nocy jedziemy
do Edynburga.

A R T U R.

Jakto?

L A D Y.

Ale w krotce wrócimy do twoich towarzyszy.

C L A C T O W N.

No, jedźmy Panowie; już czas.

E D G A R.

Tak jedźmy, polowanie rozproszy wszelki smutek.

A R T U R.

Jedźmy. (*wygodzą*)

SCENA VIII.

SIR COBRIDGE. LADY GERALD.

COBRIDGE. (*siedząc*)

Iuż mię tu nie zastaną. Ale Clactown!... odchodzi, zostawia mię.

L A D Y.

Przecież nie samego.

C O B R I D G E.

Ah, Milady, przebacz mi to uniesienie, ten przykry przypadek...

L A D Y.

Zapomnieliśmy o nim wszyscy; zapewne w tém jest tajemnica, którą szanować należy, i nie będę żądała jej wyjaśnienia.

COBRIDGE. (*ścisnąc jej rękę*)

Dziękuję ci Milady,

L A D Y.

Lecz proszę cię o przebaczenie dla twojego siostrzeńca, który tak rzadko znaleźć może chwilę zabawy.

COBRIDGE.

Tak, jeszcze jeden, któremu jestem ciężarem, który się użala na mnie i przeklina mię w duszy.

L A D Y.

Co za myśl...

COBRIDGE.

Milady, jakież uczucie może go wiązać do mnie? zawsze ponurego gderacza! bo tu w głębi duszy dźwigam ciężar, przytłacza mię i wkrótce mam nadzieję zakończyć to życie; wtenczas będzie niezawisłym od nikogo, a mój majątek stawszy się jego własnością, wynagrodzi mu sownie przymuszoną kilku miesięczną uprzejmość!.. Oto mój los! Wszyscy wypłacali mi się niewdzięcznością, on pomnoży tylko ich liczbę.

L A D Y.

Domyślam się, młody, płochy, przyjaciel zabaw, musi się nudzić w ustroniu, w samotno-

ści. Ty znajdujesz w niej upodobanie, a on zrozumieć tego nie może.

C O B R I D G E.

I czegoż ja żądam od niego?... aby był moim przewodnikiem... czytał moich ulubionych autorów, mojego starego Szekspira, który mi tylko jeden pozostał z moich przyjaciół... aby odpowiadał, kiedy go zapytam, a milczał kiedy cierpię.

L A D Y.

Nakoniec aby cię doglądał z tą przyjaźnią której, może tylko od kobiety oczekiwać można.

C O B R I D G E.

Tak to prawda, nie na niego też liczyłem aby był wsparciem mojej starości, i rozweselał cokolwiek nieszczęsne dni mojego życia. Ale teraz któżby chciał dzielić ze mną moje ustronie?

L A D Y.

Ach, osoba, któraby dopomagała, któraby zastępowała twojego siostrzeńca.

C O B R I D G E.

Mojego siostrzeńca, nie tego żądam, chciałbym bowiem wysłać go do Anglii, do Lincoln,

na miesiąc może, ale gdzież znajdę osobę?

L A D Y.

Mogę ci kogoś polecić, kogoś, co niezawodnie ci się podoba, tu, tu nawet. *(dzwoni)*

Ah! jakżem szczęśliwa!

C O B R I D G E.

Co mówisz Milady?

L A D Y.

Przyjmij ją... jest to przysługa o którą cię proszę i którą mi winien będziesz odwdzięczyć.

T O M Y. *(wchodząc)*

Milady....

L A D Y.

Poproś tu tej młodej panny, powiedz że czekam na nią.

T O M Y,

Natychmiast.

C O B R I D G E.

Młodej panny?...

T O M Y. *(wracając)*

Ale... Milady racz na pisać kilka słów jeżeli chcesz mieć konie gotowe do podróży tego wieczora.

L A D Y.

Dobrze!.. napiszę... (*idzie do stolika na lewo aktorów, Tomy wychodzi.*)

C O B R I D G E,

Młoda panna... to być nie może.

L A D Y.

Ręczę za nią... to jest sam rozsądek, sama cnota... otoczona szacunkiem i poważaniem.

C O B R I D G E.

Nie chcę.

L A D Y.

Nie mówmy o tem.

SCENA X.

CIŻ I EMILJA. (*Emilja wchodzi z prawej strony aktorów*)

COBRIDGE, EMILJA, LADY.

E M I L J A.

Milady!...

L A D Y.

Ah! Miss przebacz, zem cię trudziła... miałam nadzieję, że ci dam schronienie i przyjaciela... ale to zależało od pana Cobridge... (*pisze*)

EMILJA. (*postępuje nagle blada i drżąca*)

Od pana!... (*zatrzymuje się, spogląda na nie-*

go i uciekając do drzwi na lewo) Oh! nie!...
nigdy!...

COBRIDGE. (*do siebie*)

To nie podobna!

LADY. (*idąc do Emilji*)

Cóżto?... gdzieś idziesz?... to pomieszanie...

EMILJA. (*zatrzymując się w głębi, półgłosem.*)

Ja?... nie ale... obcy, kiedy ty Pani miałaś... (*n. s.*)

Ah! tracę siły... (*opiera się na krześle*)

L A D Y.

Uspokój się... chciałam... na miesiąc tylko, ale
to być nie może... Sir Cobridge nie chce cię
przyjąć.

C O B R I D G E.

To prawda... młode dziewczę!... wspomnie-
nia rozdzierałyby moje serce... a potem... by-
łaby skazaną znosić moje dziwactwa i opry-
skliwość.

EMILJA. (*żywo*)

Ja!... to nic nie szkodzi... nigdy... (*wstrzymu-
jąc się*) będę miała odwagę, a jeżeliby zgadza-
ło się z wolą Milady...

COBRIDGE. (*sluchając jej, do siebie*)

O!... o...

L A D Y.

Mówisz...

C O B R I D G E.

Przebacz Milady. (*do Emilji*) Mów ty... moje dziecię... mów... słucham.

E M I L J A.

Uległa twoim rozkazom Milordzie, będę miała dla ciebie starania, jakich wymagają twój wiek i twój stan...

C O B R I D G E. (*do Lady*)

Czy to jest młoda dziewczyna?

L A D Y

Którą Lady Brown się opiekuje.

C O B R I D G E.

Jak się nazywa?

E M I L J A. (*żywo, uprzedzając Lady*)

Miss Valsej.

C O B R I D G E. (*n. s.*)

To szczególna!... ten głos czasami... (*głośno*)
Podaj mi rękę Miss Valsej. (*Emilja czyni to*)

E M I L J A. (*n. s.*)

Ah, wszystko mi przypomina chwile mojego szczęścia.

C O B R I D G E. '

Głos jej jakież uczucia obudza w sercu mojem.

EMILJA. (*do siebie*)

Ledwie oddycham!...

COBRIDGE.

To wspomnienie podwaja nienawiść która mi życie odbiera.

LADY.

W niej będziesz miał i przewodnika, i tę, która ci czytać będzie twoich ulubionych pi-sarzy.

COBRIDGE.

Sądysz Milady, że to być może?... Wistocie Miss Volsėj, głos twój wzruszył mię, pragnąłbym go słuchać często. Ale czy przyzwyczaisz się do mojego smutku... do mojej samotności?..

EMILJA

Będę się starała.

COBRIDGE.

I pojedziesz ze mną dziś jeszcze?

EMILJA.

Dziś!...

COBRIDGE. (*do Lady*)

Ona jest wolną?...

LADY.

Już ci powiedziałam kapitanie...

COBRIDGE.

Jak wróci Lady Gerald, będziesz ją często odwiedzać.

L A D Y.

A więc przyjmujesz?...

C O B R I D G E.

Tak jest... (*do Emilji*) Ale ty nic nie mówisz,.. powiedz mi... kto są twoi rodzice?... gdzie się urodziłaś?...

E M I L J A.

Urodziłam się w hrabstwie Staffort, z ubogich rodziców, zostawili mnie sierotą, bez majątku, dotychczas stratę ich oplakuję.

C O B R I D G E.

Kochałaś bardzo twojego ojca, nie prawdaż? wychował cię zapewne z ojcowską miłością... agdybyś była jego jedyną pociechą, jego nadzieją, nie byłabyś go zawiodła?... on nie umarł ze zgryzoty...

E M I L J A,

Oh! nie...kocham go... (*miarkując się*) Kochałam go tak...

SCENA VI.

CIŻ I TOMY.

TOMY. (*wchodzi środkiem*)

Milady, nieszczęście! — Panowie wracają; jeden z nich spadł z konia.

COBRIDGE. (*wychodząc z zamyślenia*)

To mój siostrzeniec.

L A D Y.

Ale czy nie raniony?

T O M Y.

Nie, ale kuleje trochę. W tej chwili także przybył pełnomocnik Milady.

L A D Y.

To dobrze.... zobaczę się z nim natychmiast i zapewne.... Bądź spokojny, przyprowadzę ci Pana Clactown. (*wychodzi a za nią Tomy:*)

EMILJA. (*padając na kolana.*)

Boże! składam ci dzięki! —

C O B R I D G E.

Miss Volszej!... chcę odjechać... opuścić ten dom... tamłdzież... to towarzystwo... wszystko jest mi nieznanome.

(*Słychać za sceną śmiechy*)

EMILJA. (*wstając z żywością*)

Ach! ktoś idzie! —

SCENA XI.

SIR COBRIDGE, EMILJA, ARTUR.

ARTUR. (*wchodzi i śmieje się mocno*)

Ha!... ha! ha!... Biedny człowiek!... (*spozstrzegając Emilję*) Ah! młode dziewczę!...

(*Emilja odwraca się, poznaje ją*)

Nieba! Milady!... (*zdejmuje kapelusz z uszanowaniem*)

E M I L J A.

Ah!... (*nakazuje mu milczenie, Artur osłupiały.*)

C O B R I D G E.

Cóż to?

E M I L J A.

Lady Gerald, i całe towarzystwo.

SCENA XII.

SIR COBRIDGE, EMILJA, LADY GERALD, CLACTOWN, ARTUR, EDGAR, MŁODZIEŻ.

(*wszyscy wchodzią śmiejąc się*)

C L A C T O W N.

Oh! jeżeli wszyscy żartować ze mnie będziecie... czy myślicie, że to jest przyjemnie?

E D G A R.

Ale bo upadłeś z takim wdziękiem...

L A D Y.

Uspokój się Kapitanie, nie ma niebezpieczeństwa, tylko strachu nabawił się twój siostrzeniec.

C L A C T O W N.

Wcale nie, nie był to dla mnie strach... tylko dla konia, postrzegł mój cień przed sobą...

Tom VII.

9

i tego się przeląkł, ja krzyczałem... on szalał... jak stanie na tylnych nogach, ja spadłem na moje... czyli prawie tak, jakbym stanął równemi nogami. Nie prawdaż? (*wszyscy śmieją się jeszcze mocniej*)

EDGAR. (*do Artura*)

Spytaj się Artura, który cię podniósł... Ah! mój Boże... cóż ci to? (*spozstrzega Emilję, cicho do Artura*) Ah! prześliczna! To zapewne Emilja?

A R T U R.

Milczenie!...

C L A C T O W N.

Nie bój się wujaszku, mnie nic nie jest.

C O B R I D G E.

Tem lepiej! już zbyt długo bawię tutaj, pojedziemy.

C L A C T O W N.

Jakto? przed obiadem! nie, nie, to byź nie może, nie pojedę tak prędko. Muszę odpocząć i posilić się po takim skoku.

L A D Y. (*do siebie*)

Zapewne na niego tylko czekałeś aby wrócić do siebie.

C O B R I D G E

Muszę jechać... ale już nie jestem sam... Oto moja Antygona.

C L A C T O W N.

A! wcale ładna!

L A D Y.

Ty mój siostrzeńcze odprowadź...

EMILJA. (n. s.)

Jej siostrzeniec!...

ARTUR. (n. s.)

Co za tajemnica! drżę! cały!

C O B R I D G E.

Jedźmy w tej chwili! Moje łube dziecię,
pójdź, prowadź mię.

L A D Y.

Spodziewam się, że teraz mniej samotny czę-
ściej nas odwiedzać będziesz.

C O B R I D G E.

Oh!... Młady!... (do Emilji) Podaj mi
rękę!...

EMILJA. (podając rękę panu Cobridge mó-
wi cicho do Artura)

Błagam cię! milczenie, (n. s.) Boże? wspie-
raj mię! -

(Clactown i Emilja prowadzą Kapitana, La-
dy Gerald im towarzyszy. Artur i wszyscy in-
ni żegnają ich. Zastona spada)

KONIEC AKTU PIERWSZEGO.

AKT II

(Scena przedstawia sypialnię Sir Cobridge. Drzwi po obu stronach. W głębi alkowa w której stoi łóżko kapitana. Za podniesieniem zasłony, kapitan siedzi w wielkiem krześle przy stole. Clactown siedzi z drugiej strony stołu, po lewej kapitana. Emilja siedząc po prawej, czyta)

SCENA I.

EMILJA, SIR COBRIDGE, CLACTOWN.

EMILJA. *(czytając)*

Król Lear do swojej córki.

»Na słońce! które na mnie promień święty ciska,

»Zrzekam się żem twym ojcem, prawa i nazwiska,

»Nasze węzły zerwane, nie znam cię w tej dobie,

»Przebóg!... a jam cię kochał, miał nadzieję w tobie,

»Ze twej pieczy się oddam w spokojnej
starości.....

C L A C T O W N.

Ah! mój wuj śpi!

C O B R I D G E.

Milcz!... albo idź precz!...

C L A C T O W N.

Dziękuję!

EMILJA. *(czytając)*

»O mój ojcze!...

»Zostaw mię, wyrzecz się miłości!

»Ah! gdybym mógł dni moich opuszczając
brzemie

„Zasnąć w ciszy grobowej, opuścić tę ziemię!

»To prawda: gdy przekleństwo już duszę
zapala.

»Serce, które rozdarła, od niej się oddała.

C L A C T O W N.

Oh! jak jej głos drży!

C O B R I D G E.

Będiesz ty milczał!... nie można dwóch wier-
szy przeczytać, żeby nie przerwał!... od począt-
ku tej sceny już siódmy raz.

C L A C T O W N.

Ah! mój Boże!... Wuju czyż nie mogę uczy-
nić najmniejszej uwagi?... Cóż u licha! nie je-

stem przecię kwakrem!... już i tak dosyć przyjemności być zamkniętym w tym domu, - prawdziwej fortecy, z której od ośmiu dni ani na krok się nieruszyłeś, i gdzie tylko Szekspirowi przecisnąć się wolno.

C O B R I D G E.

To prawda!... jego towarzystwo jest mi naj-
milsze. Mój stary Szekspir, jest wiernym mo-
im przyjacielem, w każdej chwili mam go przy
sobie... to moja pierwsza i ostatnia miłość. Kie-
dy byłem młody, w domu czy w wojnie, we
wszystkich uciechach, on był obecnym. Wszy-
stko utraciłem, wszystko!... nawet widok świa-
tła!... a on jeszcze pozostał aby mię pocieszać!...

C L A C T O W N.

A!... to bardzo zabawne!... Przeklęty autor ze
swemi bitwami, sztyletami i tyradami. On mię
zawsze roztkliwi jak kurczę... Ot i teraz głos
panny Volej tak cię rozezulił!... Przekleństwo
króla Leara przeczytała z takim wzruszeniem!...

E M I L J A.

Bo ojciec, który przeklina córkę!... to prze-
nika serce!...

C O B R I D G E.

Słusznie czyni!

C L A C T O W N .

Łatwo można poznać, że nigdy nie miałeś dzieci.

COBRIDGE. (z gniewem)

Clactown!... zostaw nas!... nie mogłeś dawniej ani chwili być przy mnie... a od ośmiu dni, jak Miss Volsej jest tutaj, kiedy dzięki jej gorliwości i dobroci już nie potrzebuję ciebie..nie odstępujesz mię ani na krok.

C L A C T O W N .

Bo nie mogę cię opuścić mój kochany wuju. Lubię bardzo słuchać cię i... (*patrzac na Emilję*) patrzeć na ciebie... Tém bardziej, że Lady Gerald nie wróciła jeszcze z Edymburga, przyrzeklen czekać Sir Artura i jego przyjaciół, aby razem zapolować... Czekaając na nich tak trupów nasłałem, jak twój Szekspir.

COBRIDGE.

Czy chcesz mię przywieśdź do niecierpliwości?...

C L A C T O W N .

Przeciwnie... dziś na śniadanie będziesz jadł moją zwierzynę... (*wstajac*) Muszę zajrzeć do kuchni. (*przechodzi na prawo Emilji*) Prawdziwy strzelec zabija wszystko co mu się na-

winie, potem łup swój upiec każe, i dopiero upieczony porzuca. To są nasze przyjemności: kiedy widzimy jak ze smakiem zajądają naszą zwierzynę.

C O B R I D G E.

Dobrze już, dobrze... tylko idź precz!...

CLACTOWN. (*oddala się kilka kroków, potem wraca aż do krzesła wuja*)

Ale to wszystko jedno... ja zawsze jestem zdania panny Vorsej... Ojciec, który przeklina swoją córkę...

C O B R I D G E.

Jeszcze?!...

C L A C T O W N.

O! nie gniewaj się mój wuju... już idę.

(*odchodzi na prawą stronę widzów*)

SCENA II.

EMILJA, SIR COBRIDGE. (*siedzą*)

C O B R I D G E.

Jeżeli sądzi, że jest występna, słusznie czy-
ni przeklinając ją.

E M I L J A.

A mnie się zdaje panie Kapitanie, że ojciec

przebacza zawsze.

C O B R I D G E.

Zawsze! a jeżeli córka zniewazyła jego imię, zmusiła wstydić się, kiedy on może wszystko dla niej poświęcił, kiedy w niej złożył całą swoją sławę, wszystkie nadzieje!

E M I L J A.

Jeżeli ją świat tylko obwinia... świat częstokroć jest niesprawiedliwym.

C O B R I D G E,

Niesprawiedliwym, niesprawiedliwym! na to potrzeba dowodu.

E M I L J A.

I dla tego to, skazuje córkę swoją na rozpacz i nędzę!...

COBRIDGE, (*zamyśla się*)

Nędzę! Oh! nie... nędza! to byź nie może! Clactown jutro pojedzie, dziś w wieczór.

EMILJA. (*z żywością*)

Pojedzie!... po co?... dla czego?...

COBRIDGE. (*n s.*)

Oh... nic... nic... podróż... chcę go oddalić utrudza mię... nudzi.

E M I L J A.

On?... jednakże kocha cię!...

C O B R I D G E.

Tak, kocha!... sukcesję.

E M I L J A,

Jest... jedynym... twoim krewnym.

C O B R I D G E.

Tak! on tylko.

E M I L J A.

Ah... on tylko... kto inny możeby bez interessownie więcej był troskliwym, czułym. Na przykład... cór... (*poruszenie Cobridge Emilja wstrzymuje się*) siostrzenica...

COBRIDGE. (*z roztkliwieniem*)

Jestem sam!... sam na świecie!... tak chcę przynajmniej... umrę samotny... zapomniany... nie mam krewnych... przyjaciół, prócz tych, którzy litują się nad starym Cobridge, jak ty Miss Valsej. (*chwila milczenia*) Nie czytasz już?

E M I L J A.

I owszem. zaraz.

COBRIDGE. (*wyciągając ku niej rękę Emilja chwytając ją*)

No, no, czytaj dalej... słucham.

EMILJA. (*czyta*)

»Ah! panie tobiem winna, tyś mi dał tożycie,

»Pielęgnował troskliwie, kochał twoją dzie-
cię.

»Sercem najuległym za dobrodziejstw
tyle,

»Córka cię wielbi, kocha, w całej uczuć
sile;

»Lecz odmawia przyjęcia...

*(Cobridge zwolna opuszcza głowę i zdaje
się zasypiać. Emilja zatrzymuje się i patrzy
na niego.)*

COBRIDGE. *(zasypiając).*

Nędza!...

EMILJA. *(z żywością zaczyna czytać.)*

»Lecz odmawia przyjęcia małżonka dla
siebie,

»By tobie oddać serce, kochać tylko ciebie!

»Król.

»Ty odmawiasz!...

(zatrzymuje się i nachyla się ku niemu.)

Spi!... ah!... gdybym śmiała!... *(wstaje oglą-
da się i zbliża ku niemu)* Ah! gdybym śmiała
go uściskać!... już od tak dawna *(chce go*

uścisnąć, lecz w chwili kiedy się nachyla ku niemu, Clactown wchodzi, oddala się śpiesznie.) Ah!...

SCENA III.

EMILJA, CLACTOWN. COBRIDGE.

(Cobridge śpi)

CLACTOWN *(wchodząc mówi)*

Otóż jestem!... już gotowe...

EMILJA. *(dając mu znak)*

Cicho!... *(odnosi stolik w głąb teatru)*

CLACTOWN. *(półgłosem)*

Ah! śpi?... to mię nie dziwi!... on tak zawsze, czasem oba zasnęliśmy, to się wtedy gniewał, bo on się zawsze gniewa.

E M I L J A.

On tak dobry!... może niemasz dla niego względów...

C L A C T O W N.

Do kata... To prawda, że ja tak nie mogę być jak Miss na najmniejsze jego życzenia, uprzedzać jego kaprysy... nie mogłem się do tego przyzwyczaić. Szczęściem jest nas teraz dwoje obok niego... i kiedy ty Miss przy nim

będziesz, to chętnie i ja na krok go nie odstąpię.

EMILJA.

Panie!...

CLACTOWN.

Miss jesteś ładną... ja toż samo...

COBRIDGE. (*przez sen*)

Nic!... nie!...

EMILJA,

Nieba!...

CLACTOWN.

Nie zważaj!... to marzenie... Nie opuszczę go, ponieważ ty Miss...

COBRIDGE, (*marząc*)

Puszczajcie mię... moja córka!...

CLACTOWN.

Co!... jego córka!...

COBRIDGE. (*marząc*)

Moja córka!... tak ją kochałem!..

CLACTOWN.

Hm!... hm!... dziedziczka!...

(*Emilja czyni poruszenie, on ją zatrzymuje*)

COBRIDGE, (*marząc*)

Niech się nie zbliża!... mąż!... tak dobry!.. zabity!... moja córka!... nie mam jej... rzuciłem na nią przekleństwo!

Tom VII.

10

(Emilja drżąca obala krzesło na którem się opierała)

C L A C T O W N.

Cicho...

COBRIDGE. *(przebudzony nagle)*

Co to jest... kto tu?...

C L A C T O W N.

To my, mój wuju... Słuchaliśmyjakeś spał...
mówiłeś o rzeczach...

COBRIDGE. *(wstaje)*

Mówilem... co?... o kim?...

C L A C T O W N.

Mówiłeś... moja córka!... moja córka!...

COBRIDGE.

Moja cór... nie, nie!... to być nie może.

C L A C T O W N.

Ale tak, słyszałem... *(Emilja, która stała w od-
daleniu zbliża się do kapitana)*

E M I L J A.

To zapewne ta scena, którą czytałam przed
chwilą, zajmowała cię panie.

COBRIDGE.

Tak... tak... to było zapewne...

C L A C T O W N.

Ba!... doprawdy?... aha!... jakżem ja też glu-

pi... nabawiłem się strachu. Śniadanie już gotowe.

COBRIDGE, (*biorąc go za rękę*)

Dobrze! Słuchaj no!...! (*daje znak Emilji aby się oddaliła*) Zaraz... Miss Volszej... chwilę tylko... (*bierze Clactown na stronę i mówi półgłosem*) Słuchaj mię, mam ci dać ważne polecenie. Chciałbym do kogoś lepszego udać się wtym względzie...ale ciebie mam tylko...

CLACTOWN.

Dziękuję za tę preferencję.

COBRIDGE. (*j. w.*)

Jutro pojedziesz.

CLACTOWN.

Jakto ja wyjadę!... kiedy tamci przyjeżdżają, bo przed chwilą słyzałem strzały, oznajmają one powrót Artura i jego przyjaciół.

EMILJA. (*n. s.*)

Artura!...

COBRIDGE. (*j. w.*)

Cóż mię to obchodzić może?... pojedziesz do Anglji... do Hrabstwa Lincoln.

CLACTOWN.

Do Hrabstwa Lincoln?...

EMILJA. (*zbliżając się, do siebie*)
Co słyszę!

COBRIDGE. (*j. w.*)

Cicho!... mogą nas usłyszeć. Jak będziemy sam na sam, powiem ci czego chcę od ciebie.

EMILJA. (*do siebie*)

Drzę cała!... cóż to za tajemnica?...

C L A C T O W N.

Przed ośmią dniami, byłbym chętnie zwiedził Anglję.. (*patrzac na Emilję*) dziś wolę zostać. Czy Panna Volsėj nie może wiedzieć czego wujaszek chce odemnie?...

C O B R I D G E.

Cicho!... pójdźmy. (*Clactown wychodzi pierwszy na prawo widzów, Emilja i Sir Cobridge tylko co wyjść mają, gdy Artur wchodzi śpiesznie z lewój strony, i idzie do Emilji, ta odwraca się a poznawszy go*)

EMILJA. (*z przytłumionym krzykiem*)

Ah!...

C O B R I D G E.

Cóż to?...

(*Emilja wyprowadzając go, obraca się do*

Artura i wskazuje mu poruszeniem, aby w miejscu pozostał)

EMILJA, *(do Cobridge)*

Nic, nic... *(odchodzi.)*

SCENA IV.

ARTUR. *(sam)*

'To ona!... i zawsze ten starzec! Szczęściem nie może mię widzieć. Ale Emilja... czyli Lady Preston... Bo to jest Lady Preston z Lincoln... tak bogata, tak szanowana, tak godna szacunku... zbyt godna!... Jakiż powód tajemnicy którą się otacza?... Ale od chwili kiedy ją znowu ujrzałem, nie wiem jaka mię trwożą ogarnia... dla tego też z taką niecierpliwością przyspieszałem powrót z Edynburga!... Zaledwie przybyłem, wymykam się zręcznie mojej ciotce, moim wesołym przyjaciółom, których zbłąkanych zostawiłem na polowaniu, chcę koniecznie dowiedzieć się... ona!... Miss Volsėj, panną do towarzystwa!... a jej mąż! przecież go miała., na honor, gubię się w domysłach! Ale z resztą cóż mię to obchodzić może,..

pani czy panna, znajduję ją nakoniec... i przybywam dokończyć romans, który niepomyślnie zacząłem. Zdaje mi się, że jest teraz jęszcze piękniejsza, a co większa, że nie ma męża! (*patrzy ku drzwiom na prawo*) Otóż ona... twarz blada, melancholiczna.

SCENA V.

EMILJA, ARTUR.

(*Emilja wchodzi z przestachem, oglądając się po za siebie, drzwi z prawej strony zamykają się*)

ARTUR. (*idąc do niej*)

Milady!...

EMILJA,

Sir Arturze, milczenie; przychodzę cię błagać o nie jak o łaskę... Oddal się, opuść te miejsca i nigdy nie wracaj.

ARTUR.

Czegóż żądasz odemnie?... oh! nie, zostaję, wysłuchasz mię.

EMILJA,

Nieszczęśliwy!... chcesz mię więc pozbawić ostatniego sposobu... ostatniej nadziei?...

A R T U R.

Ja! ja? który oddałbym życie dla ciebie! Ah powiedz, co znaczy ta tajemnica? będę ją szanował?... przeszłość ręczy ci za mnie.

E M I L J A.

Za ciebie?...

A R T U R.

Oh! nie obawiaj się Emiljo, wiesz że cię kocham.

E M I L J A.

Wiem, żeś mię okrył niesławą.

A R T U R.

Wielki Boże!

E M I L J A.

Wiem, że przez ciebie... z twojej przyczyny byłam skazaną na łzy... nędzę... ohydę...

A R T U R.

Ah! nie mów tak Emiljo!..

E M I L J A.

Uczyniłeś sobie igraszkę z mojego honoru!

A R T U R.

Nie mogę cię zrozumieć... ja nigdy nie byłem przyczyną łez... umiałem zawsze zasłoną milczenia pokrywać moje miłostki, moje szczęście i moje zamysły.

E M I L J A.

A tej nieszczęsnej nocy... tej nocy, kiedy

dostawszy się aż do okna mojego pokoju, w nieobecności mojego męża...

A R T U R.

I cóż?.. nie wysłuchałaś mię, czyli raczej zawsze nieprzeblagana, odrzucałaś moje prośby z pogardą... a jednakże od kilku dni serce twoje zdawało się wzruszać... twoje spojrzenia łagodniejsze, pozwalały moim oczom podchwycić tę trwogę, to pomieszanie, które cię zdradzały.

E M I L J A.

I jakim prawem ośmieliłeś się tłumaczyć w ten sposób moje milczenie!.. (*poruszenie Artura.*) Wierna moim obowiązkom, nie mogłam cię kochać.. nie kochałam... i zaklinam cię, powiedz tu: czyliż ośmieliłam twoją zuchwałość jaką nadzieją, jednym słowem; tę zuchwałość, którą ja przypłacić musiałam, ja, tak jest, ja!.. bo widziano jak wcisnęłaś się do mojego ustronia, a później ze wschodem słońca, kiedy było potrzeba oddalić się, widziano cię zchodzącego z mojego okna, kiedyś przeskakiwał przez mur ogrodowy, i uciekał jak kochanek, którego szczęśliwym sądzą... Wkrótce ta wieść rozniosła się w o-

kolicy!.. była nakoniec w ustach całego miasta!.. Spoglądano na mnie z pogardą... towarzystwa zabroniły mi wstępu... a jeżeli dozwolono mi kiedy w niem się znajdować, słyszałam, jak byłam przedmiotem skrytych rozmów, które milkły za mojem zbliżeniem... Sir Preston w końcu dowiedział się o wszystkiém... byłam zniesławioną,.. Byłam zgubioną...

A R T U R.

O Nieba!.. trzeba było przynajmniej wezwać mię... trzeba było...

E M I L J A,

Trzeba było milczeć!.. nikt mnie nie dał wiary; a któżby chciał tobie uwierzyć?.. Mój mąż tak dumny!.. tak nieubłagany!

A R T U R.

Byłbym go wyzwał...

E M I L J A.

Tego właśnie pragnął.. powinnością moją było przeszkodzić temu, [choćby okupem krwi własnej, mojego życia. Kochałam go!.. może nie miłością, był to szacunek... najtkliwsze poważanie!.. a jednakże gdybyś wiedział z jaką pogardą odrzucał moje prośby... z jaką żądzą zemsty dopytywał się o twoje nazwi-

sko!.. Łzami zalana nie chciałam go wyjawić... ścisnęłam jego kolana, ale na próżno. Miał wyjechać... kiedy wieczorem przechodząc się po wałach, słyszy wymówione moje imię... zbliża się... jakiś oficer opowiadał kilku trzpiotom ten wypadek, w którym moje nazwisko było okropnie wspomniane... Sir Preston zbliża się gwałtownie ku niemu, i najobelżywszymi wyrazami, wyzywa go do walki, która nie-szczęsną dla niego być miała... Przyniesiono go bladego... bez sił... pierś rozdarta!.. rana śmiertelna!.. Chciałam doglądać go troskliwie, z odrazą odrzucił moje starania. W nadziei przedłużenia jego dni, przeniesiono go na ląd stały. Mimo jego woli tulałam się za nim, i umarł na moich rękach nie przebaczywszy mi!.. Krew jego spadła na mnie z przekleństwem mojego ojca!.

A R T U R.

Twojego ojca!

E M I L J A.

Tak, mojego ojca; którego nie widziałam od pięciu lat... który aż dotąd pysznił się przeznaczonym mi mężem, w nas upatrywał nadzieję upiększenia swojej starości, my mieli-

śmy go otoczyć szczęściem i radością! Mój ojciec droższy mi nad wszystko, mój ojciec opuścił Anglję, gdzie zdawało mu się, że moja hańba na nim ciąży, wydziedziczył mię i obarczył przekleństwem!.. *(zakrywa twarz rękami, i siada po prawej stronie sceny.)*

A R T U R.

Nędzny!.. i to ja stałem się sprawcą tego nieszczęścia!.. niepamiętny przeszłości, dziś jeszcze, z uśmiechem znieważałem cnotę, która dla mnie cierpiała!

E M I L J A,

Bez wsparcia, bez majątku, bez schronienia nawet... przymuszona ukryć moje imie, któreby mię zgubiło może... jakże byłam szczęśliwą, kiedy we Francji znalazłam Lady Brown, która przyjąć raczyła moje usługi. — Przez sześć miesięcy uległa jej humorowi dziwacznemu i przykremu, przyjechałam z nią do Edynburga, gdzieśmy ją utracili... Przybyłam wezwać opieki twojej ciotki, którą poznałam w Paryżu.,. gdy nagle mój ojciec...

A R T U R.

Twój ojciec!.. powiedz pani jak się nazywa?.. gdzie mieszka... pójdę...

EMILJA. (*wstając.*)
Jesteś u niego!

A R T U R.

Sir Cobridge!.. Kapitan!.. ah! pojmuję jego wściekłość, kiedy wspomnienie mego pułku przywiodło mu na pamięć... ale śpieszę usprawiedliwić się przed nim... usprawiedliwić ciebie samą!.. (*chce odejść.*)

EMILJA. (*zatrzymując go.*)

Nie!.. wstrzymaj się!.. zgubisz nas oboje! zabiłby cię.., a mnie bez względu na łzy, wypędził z tych miejsc!..

A R T U R.

Pozwól mi! Ja obudzę w jego sercu miłość i sprawiedliwość.

E M I L J A.

Jakże go wyprowadzisz z błędu?

A R T U R.

Jest człowiekiem honoru, uwierz mi,

E M I L J A.

Któż uwierzy współwinnemu, współnikowi zbrodni!.. (*biorąc Artura za rękę z mocą*) A nie jesteś ty współnikiem mojej zbrodni..

A R T U R.

Ah! przebacz mi!.. przebacz!

COBRIDGE. (*za sceną*)

Miss Volszej!...

E M I L J A.

To on!...

SCENA VI.

SIR COBRIDGE, ARTUR, EMILJA,

ARTUR. (*idąc do p. Cobridge*).

Kapitanie!...

C O B R I D G E.

Któż to?...

A R T U R.

Siostrzeniec Lady Gerald.

C O B R I D G E.

Sir Artur!... myślałem, że Miss Volszej jest tu.... (*chce wyjść, Artur go wstrzymuje*)

A R T U R

Jako opuszczasz mię tak kapitanie?... zapomniasz więc, żeś mi winien wyjaśnienie?...

COBRIDGE. (*odwracając się z żywością*)

Wyjaśnienie!

A R T U R.

Ah!... byłem pewny, że zostaniesz.

Tom VII.

11

C O B R I D G E.

Wyjaśnienie!...

A R T U R.

Tak jest. Przed ośmiu dniami w zamku mojej ciotki, mówiłeś pan o pułku do którego mam zaszczyt należeć. Mówiłeś pan w sposób ...

COBRIDGE. (*z niecierpliwością*)

Ah! dla czegoż mi to przypominasz... zdaje mi się, że powiedział, iż nie miałem chęci obrazić cię osobiście... W istocie czyliż powinien być odpowiedzialnym za błędy...jednego nikczemnika!...

ARTUR. (*z żywością*)

Kapitanie!... (*Emilja przybiega ku niemu, on się uspakaja*) Słusznie, ja też nie chcę odpowiadać za innego...ale pragnę dowieść panu, że żaden z moich kolegów...

C O B R I D G E.

Dosyć już Sir Arturze... dosyć... pozwól...

ARTUR. (*zatrzymując go*)

Kapitanie!... wysłuchasz mię... będziesz mię słuchać! Żaden z moich kolegów nie jest niegodny twojego szacunku... Znam ich wszystkich! (*Emilja słucha niespokojnie*) A jeżeli pomiędzy

niemi znalazłby się jeden tak nieszczęśliwy, któryby popełnił błąd, nawet mimowolny... pewny jestem, że dla wynagrodzenia tego...

C O B R I D G E.

To jest niewynadgradzonem!

A R T U R.

Rozumiem cię! W Lincoln...

C O B R I D G E.

Co mówisz o Lincoln?..

A R T U R.

O nieszczęściach Lady Preston... (*Cobridge chwytą go żywo za rękę.*)

C O B R I D G E,

Sir Artur milcz!.. zaklinam cię na twój i mój honor, milczenie!..

(*Emilja idzie w głąb sceny i zamyka drzwi z lewój.*)

A R T U R.

Dla czego?.. nikt nas nie słyszy, i mogę...
(*Drzwi się zamykają, Emilja wraca.*)

C O B R I D G E.

Słyszysz? !.. (*Emilja zatrzymuje się.*)

A R T U R.

Nie... nie... Jej nieszczęścia... znałem je...

C O B R I D G E.

Ah!... Ale cóż mię to obchodzić może?...
Dla czegóż przybyłeś tu mówić ze mną o tém?...

Lincoln...Lady Preston...kto ci powiedział, że
mnie to zajmuje?...

A R T U R.

Bo sądziłem... a potem oficer którego obwi-
niasz..., powiedział mi nazwisko...

(Emilja przechodzi na prawo i zamyka drzwi)

C O B R I D G E.

To nie moje... nie znam go... Ale ty... ty któ-
ry je znasz... jesteś odważnym mówileś?... pe-
łen honoru a nieukarałeś go? nie pomści-
łeś się kobiety, którą zniewazył? uczciwego
człowieka, którego śmierci stał się sprawcą
starca, którego późne dni okrył niesławą?... nie
powiedziałeś do niego? »Pójdź, niech we krwi
wojej obmyję hańbę, którą okryłeś ten ubiór
co i mnie ozdabia, a którego nosić nie jesteś
godzien!«

A R T U R.

Nie mów tego kapitanie... on nie był wystę-
pny... przysiągł mi na to,

(Emilja biegnie ku niemu i wstrzymuje go)

C O B R I D G E.

Skłamał!

A R T U R.

Sir Cobridge!

C O B R I D G E.

Skłamał, mówię ci! Dla czegoż nie przyszedł do Lady Preston i do mnie?.. winien mi być zadosyc uczynienie!..

A R T U R.

Ale on nie wiedział o niczym.

C O B R I D G E.

I on ci mówił?..

A R T U R.

Że dopiero z ust twojej córki dowiedział się o wszystkim.

COBRIDGE. *(z krzykiem.)*

Mojej córki!

(Odchodzi od zmysłów.. Emilja oddala się przerażona. Artur zdaje się pogrążony w smutku, że wymówił ten wyraz.)

Moja córka!..

A R T U R.

Przebacz kapitanie! nie chciałem...

C O B R I D G E.

Któż ci powiedział, że to była moja córka? bo nie wiedziałeś tego... kto ci wyjawił?.. powiedźże?..

ARTUR. *(patrzac na Emilję.)*

Kto?.. *(Emilja przestraszona daje mu znak błagalny.)* Twój siostrzeniec.

C O B R I D G E.

Mój siostrzeniec!.. któż mógł mu donieść?
Lecz przed chwilą.. tak... to co mu powierzy-
łem... miałaby się domyśleć?.. muszę go za-
pytać. (*przestrach Emilji.*)

ARTUR, (*zatrzymuje pana Cobridge.*)

Czy sądzisz, że nie umiem milczeć?..

C O B R I D G E.

Bynajmniej! Ciebie jestem pewny. Ale on..
Ty jesteś poczciwy młodzian, ty nie zawsty-
dzisz starego żołnierza, który nie miał szczę-
ścia umrzeć w czasie bitwy. To nie moja wi-
na!.. Ponieważ wiadome ci są moje cierpie-
nia, Arturze! nigdy mi o nich nie wspo-
mnisz!.. nie prawdaż? (*Artur daje znak Emi-
lji aby się zbliżyła.*)

A R T U R.

Powinny się ukończyć kapitanie... i gdyby
Lady Preston rzuciła się do nóg twoich i bła-
gała cię...

COBRIDGE. (*obojętnie.*)

Ja nie już jej nie winienem. Przekląłem ją!

A R T U R.

Ale gdyby powróciła?..

COBRIDGE. (*obojętnie.*)

Jeszcze raz przekląłbym ją. (*Emilja cofa się przerażona.*)

A R T U R.

Gdyby się uniewinniła... gdyby ten, który ją obraził...

COBRIDGE.

Ah! niech przyjdzie... niech przyjdzie! czekam go!..

A R T U R.

Jeżeliby chcąc wynadgrodzić swój błąd, prosił cię o rękę twojej córki...

COBRIDGE.

On moim synem?.. nikczemnik!.. (*poruszenie Emilji.*) Oh! nigdy!.. prędkiej najostaniejszemu z ludzi... i gdyby ośmielił się stać przedemną...

A R T U R.

Cóżbyś uczynił?

COBRIDGE.

Cobym uczynił?.. prosiłbym cię o twoją szpadę... albo raczej, tobie młody kolego powierzyłbym moją zemstę.

A R T U R.

Kapitanie! (*słychać za sceną stukanie strzelb i głos Edgara.*)

EDGAR (za sceną.)

Nie ma nikogo?

(*Emilja otwiera drzwi z lewój i wychodzi na chwilę.*)

COBRIDGE.

Co to znaczy?.. któż tak wchodzi?..

EMILJA. (*wchodząc mocno wzruszona.*)

Sir Cobridge, panowie z zamku, młodzi myśliwi.

ARTUR. (*cicho do Emilji ściskając jej rękę.*)

Odważnie!

SCENA VII.

CIŻ, EDGAR, I MŁODZIEŻ.

EDGAR. (*wchodząc.*)

Sir Artur! powinniśmy byli znaleźć go tutaj.

COBRIDGE. (*jeszcze wzruszony.*)

Panowie!..

ARTUR,

Ah! przez litość.

COBRIDGE.

Cóż to?..

EDGAR.

Nic... nic. Przychodzimy tu kapitanie po naszego zbiega, zostawił nas w polu umiera-

jących ze znużenia i upału. Gniewaliśmy się straszliwie, widać, że zwierzyna zgadywała nas, biegliliśmy za jej tropem, nie mogąc zdybać nigdzie. Ale, jak mi się zdaje, inni byli szczęśliwsi.

(Artur śpiesznie przechodząc do Sir Cohridge)

A R T U R,

Moi Panowie, byłem tak blisko mieszkania Kapitańa Sir Cohridge, że powinnością było odwiedzić go, powitać... mówił mi o swoich kampanjach.

E D G A R.

Tak, tak, wiem. Dla tego tu przyszedłeś. Ty lubisz bardzo kampanje, zdobycze... *(śmiech przytłumiony. Artur daje znak proszący.)*

C O B R I D G E.

Witam was moi Panowie! Nie jesteście tu w zamku Lady Gerald... ale stary Cohridge może jeszcze ofiarować gościnność strzelcom nie mającym szczęścia...

ARTUR. *(cichy do Edgara i do innych.)*

Nie przyjmujcie.

E D G A R.

I owszem, i owszem... Chętnie przyjmujemy Kapitanie.

A R T U R.

Ci Panowie wkrótce dostaną się do zamku.

EDGAR.

Wiem! Tobie dobrze mówić, siedziałeś sobie spokojnie w cieniu, kiedy my polowali w największy upał.

COBRIDGE.

Prawda.... i pójdę wydać rozkazy....
(*n. s.*) Potrzebuję być sam. (*do Emilji*) Miss Volej pójdź!.. Sir Artur i jego przyjaciele przebaczą mi... Mój siostrzeniec powinien tu być... (*do Sir Artura który podał mu rękę,*)

Sir Arturze, proszę o milczenie... rozmówię się z moim siostrzeńcem.

EMILJA. (*n. s.*)

Boże! jak przeszkodzić!..

COBRIDGE.

Pójdź Miss Volej. (*Wychodzi z Emilją drzwiami na prawo widzów będącemi. Edgar i młodzież odprowadzają go do drzwi.*)

EDGAR.

Arturze! co tobie jest?.. jakąś masz dziwną minę.., widać, że kampanje kapitana nie bardzo cię rozweseliły.. albo raczej młoda Miss nie bardzo jest przystępna.

WSZYSCY. (*wesoło*)

To, to pewno.

A R T U R

Panowie ani słowa więcej... Pomnijcie, że honor kobiety, jój dobre imię...

E D G A R.

Brawo! kazanie! tak jak twoja szanowna ciotka.

A R T U R, *(do siebie)*

Moja ciotka!... Ale jak dowieśdź kapitanowi?... moja ciotka!... muszę się z nią widzieć... muszę z nią...

E D G A R.

Z kąd ta niespokojność?

A R T U R.

Darujcie mi panowie... zostawiam was na chwilę... ale wkrótce do was przybędę. *(odchodzi)*

WSZYSCY. *(idąc za nim)*

Jakto?...

E D G A R.

Jeszcze raz nas opuszczasz?...

A R T U R.

Do widzenia. Żegniam was. *(Wychodzi na lewo, w tójże chwili z prawej strony wchodzi Clactown)*

SCENA VIII.

CLACTOWN, EDGAR, MŁODZIEŻ.

CLACTOWN. (*mając dwa listy w ręku*)

Ah! Sir Artur jest tu, ... przychodzi... cóż to?
Sir Artur odchodzi?...

EDGAR.

Nie można obojętniej obchodzić się ze swojemi gośćmi.

CLACTOWN.

A ja miałem pomówić z nim.

EDGAR.

Jakto?... chciałeś mu list oddać?...

CLACTOWN.

Eh! gdzie tam! Panowie nie wiecie?... to znowu inna historia... jadę na wojaż.

EDGAR.

Czy być może?...

CLACTOWN.

Jeszcze jeden pomysł mojego wujaszka. Chce, ażebym potajemnie, nie dawszy się poznać, powziął wiadomość względem pewnej kobiety, której los, niech sobie co chce mówi, ale zdaje mi się, że go mocno obchodzi.

WSZYSCY .

Nie podobna!

C L A C T O W N.

Nie koniec na tém... posyła jej pieniądze... chce, ażebym oddał je od niego pewnemu sprawującemu interesa w Lincoln.

E D G A R.

Jakto?... więc to do Lincoln?

C L A C T O W N.

Ehe... tak! Domyślcie się panowie, nieznanjoma, która zabiera pieniądze z mojego spadku... to nie może być bardzo przyjemne dla mnie, dla mnie jedyne dziedzica. Jedyne dziedzica!...

EDGAR. (*śmiejąc się wraz z innemi*)

Cha! ha! ha!... to słusznie!... Mówisz tedy, że to w Hrabstwie Lincoln?

C L A C T O W N.

Tam ją te pieniądze dojsć mają. A ponieważ Sir Artur mieszkał w tym kraju, byłby mi dał jakowe objaśnienia.

E D G A R.

Może i ja, tak jak on będą ci ich mógł udzielić; przepędziłem tam sześć okropnych miesięcy przeszłej zimy.

C L A C T O W N.

Czy tak? to może pan słyszałeś o Lady Preston?...

Tom VII.

12

EDGAR.

Do czarta! więc to o nią idzie?

CLACTOWN.

Tak jest. Nieznajoma kobieta!... Pan ją znasz?

EDGAR.

Jój nie znam, ale jój reputację... nie najpiękniejszą... mąż umarł ze zgryzoty, i z przyczyny jój miłostek...

CLACTOWN.

Brawo! to pan opowiesz mi wszystko... Przewdziwnie, odbędę podróż nie wychodząc z izby. A jeżeli objaśnienia będą dobre, to się ma rozumieć jeżeli w nich będzie wiele złego, doniosę wujaszкови. Cicho, o toż stary...

SCENA IX.

CIŻ, SIR COBRIDGE, EMILJA.

COBRIDGE. (*wchodząc*)

Przebaczcie mi panowie... Sir Artur... jeżeli raczysz udać się...

CLACTOWN.

Sir Artur... ale on wyszedł, nie ma go.

COBRIDGE.

To ty Clactown?

CLACTOWN.

Tak mój wujaszku ja. Ja i dwa listy pod twoim adresem. (*oddaje mu*)

COBRIDGE. (*biorąc go za rękę półgłosem*)
Clactown! wytłumaczysz mi jak się to stało
że tajemnica, której dociekleś...

CLACTOWN.

Co wujaszek mówi?.. tajemnica...

COBRIDGE. (*z. w.*)

Cicho !.. to co powiedziałeś Sir Arturowi...

CLACTOWN.

Ja?..

EMILJA. (*prędko do Sir Cobridge*)

Sir Cobridge, ci panowie czekają..

COBRIDGE.

Idź, idź! ale po ich oddaleniu wytłuma-
czysz mi...

CLACTOWN. (*cofając swoją rękę*)

Wszystko co tylko będziesz chciał wujaszku.
(*n. s.*) Wybił mi rękę ze stawu. (*do wuja.*)
Wszystko co tylko będziesz chciał... A co się
tycze objaśnień których żądałeś odemnie wzglę-
dem Lady Preston, będziesz je miał, i to
wkrótce, nawet z tąd nie wychodząc...

COBRIDGE.

Co chcesz mówić?

EMILJA. (*n. s.*)

Nieba!

CLACTOWN. (*idzie w głąb i mówi do Edgara i innych.*)

No panowie, jeżeli czynię honory domu, kto mię kocha niech idzie za mną, a ja wyzywam każdego z myśliwych, kto więcej czasu będzie potrzebował na zaspokojenie pragnienia. Idźmy! (*odchodzą wszyscy do izby na prawo.*)

COBRIDGE. (*n. s.*)

Ah! czuję trwogę w głębi duszy, trzebaż ażeby aż tu hańba mię ścigała!..

SCENA X.

EMILJA, SIR COBRIDGE.

COBRIDGE.

Objaśnienia!..

EMILJA. (*n. s.*)

Gdyby się dowiedział!.. Boże! natchnij mię!..

COBRIDGE. (*z gniewem*)

Miss Volsej!..

EMILJA.

Jestem panie kapitanie.

COBRIDGE.

Otwórz listy, przeczytaj co w sobie zawierają. (*opryskliwie*) Weźże!

E M I L J A.

Dobrze!

C O B R I D G E.

Czytaj mi.

E M I L J A.

Natychmiast! (*otwiera list.*)

C O B R I D G E. (*do siebie*)

Musi mi wytłumaczyć, jak mógł powiedzieć
Sir Arturowi...

E M I L J A. (*śluchała go*)

Zginęłam!

C O B R I D G E. (*z niecierpliwością*)

Cóż to!.. nie czytasz?..

E M I L J A.

I owszem... Ten jest od Admiralicji. Uwiad-
damia, że nadszedł czas wypłaty pensji.

C O B R I D G E.

Pieniądze! pieniądze! cóż chcą ażebym te-
raz czynił z niemi?.. Czy to wszystko?

E M I L J A. (*otwierając drugi.*)

Ten jest od starego majjka John Campbelle,
który się poleca twojej łasce kapitanie.

C O B R I D G E.

Dobrze uczynił... będę miał o nim staranie.
Starzy marynarze, to moja rodzina!.. nie mam
już innej!.. (*do siebie*) Clactown!.. głupiec!..

czuję wzruszenie... cierpię... czekam go tu.
(*do Emilji*) Zostaw mię.

EMILJA. (*drżąca nie mając już listu.*)

Ale... bo... mam jeszcze jeden list.

COBRIDGE.

Ah!.. trzeci!.. myślałem... słucham, słucham. (*chwila milczenia*) Cóż, milczysz?

EMILJA.

Jeżeli pan chcesz, przeczytam go.

COBRIDGE. (*mocno z gniewem*)

Eh! do kroćset czartów!.. cóż ci jest?

EMILJA. (*przełęczniona*)

Ale... bo... pan mówisz do mnie tak porywczo... lękam się...

COBRIDGE.

Ah! być może... W istocie... miewam czasami chwile, że gniewam się... ale z tobą Miss Volszej... oh! przebacz mi... bo widzisz... mam zmartwienia...

EMILJA.

Ty panie!

COBRIDGE.

Ale to do ciebie nie należy. No moje dziecko, czytaj!.. zkadże jest ten list?

EMILJA.

Z hrabstwa Lincoln...

C O B R I D G E.

Z hrabstwa Lincoln?... któż może pisać do mnie?.. podpis?..

EMILJA. (*wahając się*)

Emilja!..

COBRIDGE. (*z wielkiem wzruszeniem.*)

Emilja... ah! ten list... daj mi to pismo!..

EMILJA. (*zmieszana.*)

Panie kapitanie...

C O B R I D G E.

Dajże! (*Emilja schyla się prędko, podnosi jeden z tamtych dwóch listów i podaje*)

Ona pisze do mnie... odważa się... (*uwważając list jak gdyby go mógł przeczytać, potem pokazując go Emilji.*) To od Emilji, istotnie, nie prawdaż?..

EMILJA, (*głosem przytłumionym*)

Tak, tak jest; pozwól mi go pan...

C O B R I D G E.

Nie! Taka śmiałość! zkażdę dowiedziała się o mojem schronieniu?.. nie będę więc mógł umrzeć spokojnie!.. (*rozdziiera list*) Niech mi dozwolą... (*po chwili milczenia*) Ale cóż być może w tym liście?.. co może pisać?.. chcę wiedzieć... chcę...

E M I L J A.

Daj mi pan.

C O B R I D G E.

Rozdarłem go, nie będziesz mogła...

E M I L J A.

Przeczytam.... zbliżając do siebie podarte części...

C O B R I D G E.

Dobrze więc, masz!.. (*zatrzymując list*)
Ale ty nie wiesz kto jest ta kobieta! Emilja!
(*przyciąga ją do siebie i mówi bardzo cicho*)
To moja córka. (*poruszenie Emilji*) Tak mo-
ja córka!.. Milczenie!.. nie mów nic o tém..
była zhańbioną!.. a ja!.. który tak ją kocha-
łem!.. (*głosem stłumionym*) Ja!.. ja!.. (*nie mo-
gąc dokończyć*) Masz... czytaj... czytaj!.. ale
cicho! (*Emilja bierze papier, upuszcza go na
ziemię i z wysileniem mówi.*)

E M I L J A.

Mój ojciec!.. mój czci godny ojciec!.. je-
stem oskarżoną... skazaną... nie wolno mi by-
ło nawet widzieć mojego sędziego... a jednak-
że czuję w głębi duszy, że wzruszyłyby go
moje łzy i prośby...

C O B R I D G E.

Nie... nie!..

EMILJA.

Nie popełniłam zbrodni o którą mię obwiniają.

COBRIDGE.

Przeciwnie!..

EMILJA.

Nie mój ojczy, nie! przysięgam ci na pamiątkę matki mojej...

COBRIDGE.

Jej matki!...to była cnotliwa kobieta, ona...
(do Emilji) Czytaj!...

EMILJA.

Przysięgam na twój włos siwy... nie jestem winną... potwarz mię zgubiła i wydarłszy mi serce męża, które nie umiało zrozumieć mojego serca... ściągnęła na moją głowę twoje przekleństwo, które mię zabija.

COBRIDGE.

Przestań!

EMILJA.

Ah! cofnij je mój ojczy!... błądzę teraz bez przytułku... bez opieki...

COBRIDGE.

Musi być bardzo nieszczęśliwa! (pada na krzesło)

EMILJA.

I ty sam nawet, opuszczony... kiedy córka

twoja powinna by prowadzić cię, otoczyć szczęściem i miłością...

C O B R I D G E.

Ah! dosyć... dosyć!...

EMILJA. (*coraz mocniej.*)

Dla tego wyjeżdżam..... może przybędę przed listem..... pobiegnę w twoje samotne ustronie, nie odepchniesz mię od siebie, albo umrę u nóg twoich.

C O B R I D G E.

Oh! Emiljo!... nigdy!...

EMILJA. (*rzuca mu się do nóg z krzykiem*)

Mój ojczel!

COBRIDGE. (*w największem wzruszeniu*)

Ten głos!...któż to?... ktoś ty jest?

EMILJA. (*głosem przytłumionym*)

To ona! to ona!... masz ją u nóg twoich!

C O B R I D G E.

Ona tu była!...

EMILJA. (*j. w.*)

Tak jest!... skrapia łzami twoje kolana... ale nie śmie rzucić się na twoje łono... czeka tylko jednego twojego słowa...

C O B R I D G E.

Miss Volszej!... Miss Volszej!...

E M I L J A.

Czegóż chcesz odemnie?...jestem,

C O B R I D G E.

Ty!... ale ona, ona?...

E M I L J A.

Ona, to ja mój ojczel!...

C O B R I D G E.

Moja córka!...

E M I L J A.

Mój ojczel!... (*zrywa się z ziemi i rzuca się w jego objęcia*) Tak jest, to ja... którą spowtarzono, zgubiono... ale powracam godną ciębie mój ojczel... i nigdy nią być nie przestałam.

COBRIDGE. (*z zapomnieniem*)

Ty Emilja! tak, tak... Ty jesteś moja córka... którą oplakiwałem... córko!... oczekiwałem cię... nie prawdaż?...

E M I L J A.

Ah! przyjdź do siebie... (*słyszając za sceną wrzawę, oddala się*)

SCENA XI.

CIŻ, CLACTOWN, EDGAR, MŁODZIEŻ.

C L A C T O W N.

Ah! ah! to wybornie!... to ty mój wuju!... szukałem cię...

COBRIDGE. (*siedzi*)

Cóż takiego?...

CLACTOWN.

Zapytaj Edgara i tych panów... ah!... chcia-
łeś wiadomości o Lady Preston?...

EMILJA.

Wielki Boże!

COBRIDGE.

I cóż?...

CLACTOWN,

Mam je na twoje usługi... mam przewybor-
ne... otrzymałem je od pana Edgara tu obe-
cnego, który przed sześciu miesiącami bawił
w Lincoln... On ci powie czy ona zasłużyła na
twoje dobrodziejstwa wujaszku!.. ha! ha! ha!

COBRIDGE.

Clactown!...

CLACTOWN.

Reputacja okropna... zgorzenie,... jej mąż!..

EMILJA.

Panie!...

COBRIDGE.

A ja w tej chwili chciałem zapomnieć... ah...
to zawiele hańby!... nie mógłbym znieść...

EDGAR.

Mówię ci, że nigdzie przyjąc jej nie chcia-
no... wypędzano!..

COBRIDGE.

Czy słyszysz Miss Volsęj!..

EMILJA.

Nieszczęśliwa!

SCENA XII.

EDGAR, MŁODZIEŻ, EMILJA, ARTUR, COBRIDGE,
GLACTOWN.

ARTUR.

Cóż to panowie?.. cóż się dzieje?..

EMILJA.

Ah! przybywaj panie Artur... znieważają...
potępiają...

ARTUR.

Kogo?..

EMILJA.

Córkę kapitana Sir Cobridge.

WSZYSCY.

Jego córkę!..

GLACTOWN.

Dziedziczka!..

EDGAR.

To jest, że w Lincoln obwiniano Lady Pre-
ston....

ARTUR.

A ja staję w jej obronie Mości panowie!..
Ona jest samą cnotą, przysięgam na to w obec

wszystkich... a jeżeli się znajdzie kto tak bezczelny, tak podły, że ją obwini o zbrodnię, której, na mój honor, nigdy nie popełniła.. ja żądać będę od niego zadość uczynienia aż do ostatniej kropli krwi!..

CLACTOWN. (*z żywością.*)

Ja tego nie powiedziałem.

COBRIDGE. (*do Artura*)

Dziękuję ci młodzieńcze!..

A R T U R.

Kapitanie, przychodzę w imieniu mojej ciotki Lady Gerald, ja Artur de Bury, Hrabia Gerald, dziedzic jej włości; proszę o rękę twojej córki.

E M I L J A.

Boże!

W S Z Y S C Y.

Co słyszę?..

A R T U R.

Tak Mości panowie!.. wiem, że mi wszędzie zazdroszczą moich praw, więc chcąc się wznieść jeszcze wyżej, składam moje imię, znaczenie, majątek, u nóg Emilji, która przyjmując je, nowym okryje mnie zaszczytem. Nie zapominajcie o tem, że równie jak mnie i żonę moją, otacza szacunek powszechny, i że

od tej chwili, nazwisko które jej nadaję, czyni mię stróżem jej honoru.

E M I L J A.

Arturze!

ARTUR, (*do Cobridge*)

To są moje dowody kapitanie... A teraz mój ojciec, czy wierzysz mi?

C O B R I D G E.

Tak, zupełną daję wiarę... Emiljo! córko moja!

E M I L J A.

Ojciec! (*rzuci się w jego objęcia.*)

C L A C T O W N.

Hm! hm!.. to znowu inna historia!

C O B R I D G E.

A sprawca jej niesławy!.. Nędzny!

E M I L J A.

Przebaczenia!..

A R T U R.

Nigdy go znać nie będziesz!.. kiedy ten, który zagładzi twoje nieszczęścia, wróci do pułku... sprawca onych, już w nim nie będzie.

K O N I E C.

WYBÓR

K O M E D J A

W JEDNYM AKCIE.

ORYGINALNIE NAPISANA.



GRANA PIERWSZY RAZ

W NOWYM

TEATRZE ROZMAITOSCI

dnia 20 Października 1838 roku.

O S O B Y.

RADOGOST, bogaty dziedzic,	JP.	<i>Karasiński.</i>
LUDOMIŁA, jego córka,	JPa.	<i>Dobrzańska.</i>
CZESŁAW,	JP.	<i>Konorowski.</i>
RADZIMIR,	JP.	<i>Jasiński.</i>
WAWRZYNIEC,	JP.	<i>Majewski.</i>
Lokaj,	JP.	<i>Husakowski.</i>
Notarjusz,	JP.	<i>Oliwiński.</i>

Rzecz dzieje się w dobrach Radogosta.

W Y B Ó R

(Pokój pięknie umeblowany, okno po prawej widzów, nad kominkiem z lewej obraz kobiety.)

SCENA I.

RADOGOST, WAWRZYNIEC.

WAWRZYNIEC. *(stojąc przed obrazem wpatruje się w niego, ociera oczy z łez)*

Dzisiaj więc ośmnasty rok...

RADOGOST. *(podobnież)*

Tak, dzisiaj ośmnaście lat, jak mię zostawiła na tym świecie z moją kochaną Ludomiłą. Dzisiaj ośmnaście rocznica, jak moja żona po długoletniem naszym szczęśliwym pożyciu, rozstając się ze mną, sama przeniosła się w krajnę szczęścia, a mnie w żalu i łzach pograżyła.

W A W R Z Y N I E C.

Ale wszakże dzisiaj także jest rocznica urodzin pańskiej córki, do stu bisurmanów.

R A D O G O S T

To prawda, mojej kochanej Ludomiły. Prosiłiśmy nieba o drogi zadatek miłości. Stwórca wysłuchał prośb, ale dzień urodzin córki, naznaczył śmiercią matki.

WAWRZYNIEC. *(chcąc odwrócić uwagę Radogosta)*

Panna Ludomiła, jest żywym obrazem nieboszczki naszej pani, ta sama słodycz, ta sama dobroć, łagodność....

RADOGOST. *(zapominając się)*

O tak, matka odżyła w dziecięciu... i jeżeli boleść nie skróciła dotąd dni moich, winienem to Ludomile. Przy niej zapominam moich cierpień, przy niej przestaję narzekać. Ona osłodą mojego życia.

WAWRZYNIEC.

Wszystko to panie, bardzo pięknie, *(wesóło)* ale ja myślę, że to już czas, aby ona i komu innemu stała się osłodą.

R A D O G O S T.

Domyślam się co chcesz mówić.

W A W R Z Y N I E C.

I ja domyśliłem się, co znaczą odwiedziwy pana Radzimira. Szlachetny młodzieniec...

R A D O G O S T.

To prawda.

W A W R Z Y N I E C.

Jaka skromność!

R A D O G O S T.

Prawda.

W A W R Z Y N I E C.

A ma się nie źle. To mię zaskądziwia: młody, bogaty i skromny. To są trzy przymioty, które teraz tak rzadko można widzieć połączone, że niech mi pan tego za złe nie bierze, ale ja bardzo sprzyjam panu Radzimirowi.

R A D O G O S T.

Któżby go nie lubił?

W A W R Z Y N I E C.

On mi się ze wszystkich zalotników najlepiej podoba.

R A D O G O S T.

Ze wszystkich zalotników?

W A W R Z Y N I E C.

Czy to pana dziwi? Jużci ja myślę, że ci młodzi, i ci niby to młodzi Ichmoście, którzy nasz dom, przedtém cichy jak klasztor, oblegają bezustannie; nie przyjeżdżają ani do pana, a tém bardziej do mnie.

R A D O G O S T.

Dla czegożby nie do mnie?

W A W R Z Y N I E C.

Dla czego? ja się znowu spytam pana, dla czegoż nie przyjeżdżali w tenezas, kiedy panna Ludomiła, bawiła przy swojej ciotce w Warszawie i kończyła tam edukację?

R A D O G O S T,

Bo... bo...

W A W R Z Y N I E C. (*całując w rękę Radogosta*)

Bo... bo... kochany panie, nie mamy co na to powiedzieć.

R A D O G O S T.

Dobrze mówisz... stary... nie dla nas to, nie dla nas te odwiedziny.

W A W R Z Y N I E C.

Najlepszym będzie dowodem wesele panienci, jak pojedzie za męża, u nas znowu będzie cicho jak w klasztorze.

R A D O G O S T.

Kto wie...

W A W R Z Y N I E C.

Jak się tylko państwo młodzi wyniosą...

R A D O G O S T.

Dlaczegożby się wynieść mieli?

W A W R Z Y N I E C.

No jużcić pan przecię nie zechcesz żony mężowi zatrzymywać.

R A D O G O S T. 1

Prawda.

W A W R Z Y N I E C.

Smutek to zawsze dla rodziców; chowa się córkę, chowa, przyjdzie ktoś, zabiera i tylko ojcu zostaje wspomnienie ukochanego dziecięcia...

R A D O G O S T.

Wawrzyńcze, czy znowu zacznasz mię smucić. Bo dalipan, gotów jestem moją Ludomiłę nie wydać nigdy za mąż...

W A W R Z Y N I E C.

Ho, ho, a to by pięknie było. Zagrzebywać młodość, piękność, talenta, w zagrodzie wiejskiej siedziby; gdzie to tylko nam na starość mile drzewa, któreśmy sadzili, miłą chatą, którąśmy stawiali.

R A D O G O S T.

Mój Wawrzyńcze, dosyć już tego, jesteś gadułą...

(Wawrzyńiec zasmucony odwraca się)

R A D O G O S T. *(widząc to)*

Ale poczciwym gadułą, którego kocham.

W A W R Z Y N I E C.

Ale bo... nie wydać panny za mąż, dla tego żeby się nam nie nudziło; zamykać ją przed światem... do stu bisurmanów!...

R A D O G O S T.

Ale kto mówi, ja żartowałem. Oh jak widzę, mój Wawrzyniec więcej kocha córkę jak ojca.

W A W R Z Y N I E C.

— Nie, on zarówno kocha i córkę i ojca, i dla tego nie chce, ażedy jedno dla drugiego cierpiało...

R A D O G O S T.

No... no... będzie jak chcesz, będzie... i dziś może...

W A W R Z Y N I E C. (z radością)

Jak to, panie, dziś?... a ja nic o tem nie wiedziałem. Ey panie to się nie godzi.

R A D O G O S T.

Jakże ci mam co powiedzieć, kiedy ty zaraz wszystko Ludomile powiesz; a ja chciałbym, aby wybór przez nią uczyniony, był w rocznicę i jej urodzin, podarunkiem od ojca.

W A W R Z Y N I E C.

Ah! to dobrze, to przedziwnie... zostawisz pan jej wolny wybor?

R A D O G O S T.

Zupełnie, spodziewam się, że on odpowie moim życzeniom.

W A W R Z Y N I E C.

I ja tak myślę, ale to tajemnica. (zapomi-

nając się) jak ona się ucieszy, jak jej to powiem.

R A D O G O S T.

Otóż mamy, a co nie mówiłem? oj stary, stary...

W A W R Z Y N I E C.

Ah prawda, ona nie ma o tem wiedzieć; to trzeba panie, żeby stary Wawrzyniec nie widział się dziś z panną, bo...

R A D O G O S T.

Bo się wygada...

W A W R Z Y N I E C. (*z uśmiechem*)

Ja nie ręczę za niego.

R A D O G O S T.

Czyliż nie umiesz?...

SCENA II.

R A D O G O S T, W A W R Z Y N I E C, C Z E S Ł A W.

C Z E S Ł A W.

Witam cię mój dobroczyńco!

R A D O G O S T.

Jak się masz Czesławie? po wczorajszym polowaniu, dobrze się spało?

C Z E S Ł A W.

Jak to po polowaniu?

R A D O G O S T.

Bo kiedy kto kilkanaście godzin, za interesami biega, to prawie to samo, jakby był na polowaniu, i często takiz sam zysk odnosi.

C Z E S Ł A W.

Przeciwnie, ja dopełniłem wszystkich życzeń pańskich.

R A D O G O S T.

Wiem o tem, bo tez ty mój kochany Czesławie, nie uważasz ani na trudy, ani na przykrości, kiedy idzie o moje zadowolenie.

W A W R Z Y N I E C.

To prawda, ja sam nie raz tego byłem świadkiem; a kiedy pan chorowałeś...

C Z E S Ł A W.

Wawrzyncze, proszę...

W A W R Z Y N I E C.

Eh! co tam proszę, i tak aż nadto długo milczałem, a to dla przypodobania się panu Czesławowi, nie wiem, z kąd mi ta grzeczność przyszła do głowy.

R A D O G O S T.

Cóż?

W A W R Z Y N I E C.

Przez dziesięć dni, ani oka nie zmrużył; i nie wiem dla czego, bo przecię i ja nie byłem nic; i kiedy pan, przychodząc do zdro-

wia, już zaspokoiliś nas zupełnie, i rozkazem oddalałś go, to on w przyległej izbie siedział tuż przy drzwiach, słuchając jak najpilniej każdego pańskiego poruszenia; i lubo my wnosiliśmy lekarstwo, ale wszystko zawsze jego ręką było nalane, jego ręką..

RADOGOST. (*ściskając Czesława*)

Pocziwy chłopcze, jakże ci nagrodzę to przywiązanie?

C Z E S Ł A W.

Przywiązaniem, jakiego codziennie odbieram dowody.

W A W R Z Y N I E C.

I wart tego. Kochany chłopiec, panie, gdybyś był miał syna, musiałby być takim jak Czesław.

R A D O G O S T.

Luby zakład przyjaźni. Ojciec umierając, przelał ją na syna, i ja z radością, przywiązanie jakie miałem do ojca, przeniostałem na niego.

W A W R Z Y N I E C.

Otóż mamy nowe szczęście, nam zawsze będzie dobrze; a pan chce córkę tu zatrzymać, nie wydać jej za męża, dla tego, żeby się z nami nudziła.

R A D O G O S T.

Wawrzyńcze...

W A W R Z Y N I E C.

Ale bo prawda; sam osądź, panie Czesławie: dziś ma panna Ludomiła uczynić wybór, a naszymu dobremu panu, przyszła myśl, zrobić z niej starą pannę.

CZESŁAW. (*nieznacznie*)

Dziś ma uczynić wybór?

W A W R Z Y N I E C.

Tak jest; a potem bywają zdarzenia, że najlepsza panna, któraby była najlepszą żoną, gdy nią nie zostanie, zmienia się w nudną, uprzykrzoną...

R A D O G O S T.

No, no, nie będzie tego przypadku z Ludomiłą.

C Z E S Ł A W.

I ja tak sędzę. Ozdobiona tyłu pięknymi przymiotami duszy i ciała; żyjący obraz cnoty, mógłaby nie obudzić holdu, który jej się sprawiedliwie należy.

R A D O G O S T.

Czy tak myślisz?

C Z E S Ł A W.

Ani wątpię nawet. Ta dobroć, której piętno tak widocznie maluje się w rysach jej twarzy, ta anielska słodycz, to spojrzenie nie

winności, ten urok rozlany w całej jej postaci...

WAWRZYNIEC. (*żartując*)

Hm! hm! pan Czesław dobrze się przypatrzył...

R A D O G O S T.

Dziękuję ci za moją córkę Czesławie, ale cicho... szczęście, żeś ukończył twoje pochwały, byłaby je usłyszała.

SCENA III.

RADOGOST, LUDOMIŁA (*w głębi*) WAWRZYNIEC, CZESŁAW.

LUDOMIŁA (*wbiega i rzucając się w objęcia ojca:*)

Kochany ojcze!

R A D O G O S T.

Pięknie, pięknie Ludomiło, zaspalaś w dzień twoich urodzin, i ojciec musi czekać na uścisk dziecięcia, kiedy był pewny, że w ten dzień wiecznie dla niego pamiętny, już Ludomiła czeka z powitaniem.

L U D O M I Ł A.

Daruj, daruj mój ojcze! (*całuje go w rękę i odwraca się, ocierając łzy.*)

14.*

W A W R Z Y N I E C.

Panie, panie, panienka płacze.

LUDOMIŁA. (*zawstydzona*)

Nie, oh nie.... (*ocierając prędko oczy*) Nie, ja nie płakałam, to się tylko tak Wawrzyńcowi zdaje.

W A W R Z Y N I E C.

Ale, zdaje, niech no tylko pan zajrzy w oczki pannie Ludomiłce, do stu bisurmanów!

R A D O G O S T.

Ludomiłko! (*odwraca ją ku sobie, i patrzy jej w oczy.*) Tak, ty płakałaś.... jakież powód?....

L U D O M I Ł A.

Mój ojciec....

R A D O G O S T.

Chcę wiedzieć...

W A W R Z Y N I E C.

Tak, chcemy wiedzieć, do stu bisurmanów, może...

L U D O M I Ł A.

Bo...mój ojciec....

R A D O G O S T.

Oho! znowu coś nowego... ale... (*przypominając sobie*) prawda, miałem się zapytać ciebie, dla czego to panna nie ze swego pokoju przychodzi?....

LUDOMIŁA (*ze łzami*)

Byłam na grobie mojej matki.

RADOGOST (*ze łzami*)

Dobre dziecię.

W A W R Z Y N I E C.

Kochane dziecię!

L U D O M I Ł A.

Poniosłam jej dziękczynne modły, mogłam do nich łez nie przyłączyć, na samo tylko wspomnienie, że dając mi życie, pozbawiła ojca szczęścia na tej ziemi. (*klęka z płaczem u nóg Radogosta*)

RADOGOST. (*do najwyższego stopnia wzruszony*)

Ludomiło!... Ludomiło!... nie przywódcz mi tej chwili w pamięci, (*podnosi ją*) Rana ta, jest zawsze świeżą w mojem sercu, dla czegoż ją rozjatrzać? Pamiętam, kiedy oddając mi córkę, już tylko spojrzeniem nas pożegnała, bo cierpienia odjęły jej mowę. Zdawało się, że czekała tylko chwili, kiedy ty świat powitasz, aby się z nim pożegnać na wieki, i kiedyś po raz pierwszy zapłakała, matka twoja, ostatniem tchnieniem, przeniosła się do wieczności!

L U D O M I Ł A.

Wdzięczność należy się rodzicom, a le któż

mocniej czuć ją powinien, jak ta, co zyskała życie, śmiercią swojej matki.

R A D O G O S T.

Ty święcie dopełniasz tego długu wdzięczności, stałaś się pociechą ojca, wszystkich, co cię otaczają. (*po chwili*) Ale dosyć już smutku.

WAWRZYNIEC (*wesoło*)

Ja też to samo tylko co chciałem powiedzieć.

LUDOMIŁA (*do Wawrzyńca*)

Ach to twoja wina, żebyś był nie powiedział, że płakała, byłby ojciec nie wiedział o tem.

C Z E S Ł A W.

Takie łzy przynoszą chlubę jej sercu...

R A D O G O S T.

Teraz moja Ludomiło, mam parę słów z tobą pomówić....

W A W R Z Y N I E C.

Otóż to właśnie: przypominałem sobie jaką to radosną nowinę miałem panience donieść, (*z radością*) jak jej powiem...

R A D O G O S T.

Wawrzyńcze!.... gdzie głowa?.... gdzie pamięć....

W A W R Z Y N I E C.

Ja sam nie wiem, gdzie się podziały... tfu!...

czy lichy skarżał... człowiek nie może się o-
dezwać.

R A D O G O S T.

Później....

CZESŁAW (*odchodzi*)

RADOGOST (*widząc to*)

Przepraszam cię mój Czesławie (*Czesław i
Wawrzyniec odchodzą.*)

SCENA IV.

RADOGOST I LUDOMIŁA.

(*Chwila milczenia, Radogost spogląda na
Ludomiłę, ona rzuca mu się na szyję*)

L U D O M I Ł A.

Oh! mój ojczy!

R A D O G O S T.

Luba córko!... kochane dziecię.... otóż....
miałem ci powinszować; i jeżeli wiem co
mam powiedzieć.....

L U D O M I Ł A.

Bo czegożbyś ojczy chciał mi życzyć, czy-
liż jest istota na ziemi, którąby niebo tak jak
mnie, samą pomysłnością otoczyło? Gdzie
miłość i najtkliwsze przywiązanie otacza nas
do koła, gdzie skromny zakres naszych chę-

ci, nigdy żadnej nie doznaje przeszkody; tam życie jest szczęściem prawdziwem, tam każde życzenie, byłoby zbyt cennem.

L O K A J.

Pan Radzimir.

LUDOMIŁA (*zarumieniona*)

Pan Radzimir? (*obojętnie*) Prosić, (*do ojca*) wszakże nie odmówisz przyjęcia?

R A D O G O S T.

Ja..., zacny młodzieniec, równie wesół, jak szlachetny. Te dwa uczucia, tylko mogą objawiać się przy najpiękniejszym sposobie myślenia.

LUDOMIŁA (*bez znaczenia*)

I ja tak sądzę, dla tego też pan Radzimir, powiem ci szczerzę mój ojcze, jest jeden, z tej małej liczby, którym sprzyjam prawdziwie. Potrafił zyskać sobie mój... szacunek.

RADOGOST. (*na stronie.*)

Mój... szacunek... ten namysł, rozumiem co to znaczy.

SCENA V.

RADZIMIR, RADOGOST, LUDOMIŁA.

RADZIMIR (*wesoło*)

Ah! witam, witam kochany mój ojcze! (*z u-*

szanowaniem *klania się Ludomile*) piękna Ludomiła, która dziś ósmną wiosnę zaczyna, raczy przyjąć także hołd powinienny mego uszanowania. (*Ludomiła oddaje ukłon, wszelkie obejście się z Radzimirem, powinno w niej malować się tylko jako przyjaźń prawdziwa.*)

R A D O G O S T.

Pięknie, pięknie, mój Radzimir nie zapomniiał o tem.

R A D Z I M I R.

Jabym miał zapomnieć, ja!... pewnie nikt o tém lepiej nie pamięta odemnie, nawet Czesław.

L U D O M I Ł A.

Jakież dowód?

R A D Z I M I R.

Przekonasz się pani, jeżeli kiedy moje pustelnicze mieszkanie, uszczęśliwisz twoją obecnością. Wszędzie, na każdej książce, w każdym kalendarzu, nie ledwie na wszystkich drzwiach, ten dzień jest napisany, podkreślony, naznaczony. Wszyscy moi ludzie, wiedząc o tém, pewni, że to jest najmilszą moją pamiątką, z kolei, już przed miesiącem

powtarzają ciągle: „Panie, za miesiąc urodziny panny Ludomiły; panie, już tylko dwa tygodnie; panie, już trzy dni,“ ale dziś już nie słyszałem tego, bo równo ze świtem, wszystko zdawało się, dzielając moją radość, powtarzać wraz ze mną, dziś więc, dziś!..

L U D O M I Ł A.

Dziękuję za pamięć.

R A D O G O S T.

Ale kochany mój Radzimirze, a moje też imię czy podkreślone?

R A D Z I M I R.

Nie...

R A D O G O S T.

Nie?

RADZIMIR (*skazując na serce*)

Ale tu napisane. (*ściskając Radogosta*)

R A D O G O S T.

Pustak jesteś, pustak.

R A D Z I M I R.

Niechże mi kto powie, że niesprawiedliwie nazywam pana moim ojcem, kiedy cokolwiek bądź powiem, zaraz usłyszę zwyczajną piosnkę, niegdyś mojego ojca. Eh! to pusta gło-wa, to pędziwiatr, z nim nie można rozsądnie pomówić. Ej bo!... (*pokazuje niby targanie*)

R A D O G O S T.

Co, co?...

RADZIMIR. (z uśmiechem)

Było to, nie raz było.

RADOGOST. (wesolo)

Ale widać, że nie wiele pomogło!

L U D O M I Ł A.

Ah! mój ojczel!

R A D O G O S T.

Cóż chcesz?... ja zawsze prawdę mówię.

R A D Z I M I R.

Jakżem szczęśliwy, że panna Ludomiła staje w mojej obronie, widać, że łaskawiej mię sądzi...

R A D O G O S T,

Bo wy oboje, jeszcze dziećmi jesteście. Dziwi mię jednak, że dotychczas, kochani moi sąsiedzi nie przybywają dzielić mojej radości.

R A D Z I M I R.

A mnie cieszy, że miałem szczęście przybyć pierwszy.

LUDOMIŁA. (z lekkim westchnieniem)

Tak, pan pierwszy... i wdzięczna mu jestem.

R A D Z I M I R.

Ja raczej tobie pani. Dla tego też wyprzedziłem kogoś już prawie przy wjeździe bra

mie, i podobno cokolwiek nie grzecznie, bo jeżeli się nie mylę, zawadziłem...

R A D O G O S T.

Otóż mamy!.. ah coteż to za głowa!...

R A D Z I M I R.

Trochę tylko, trochę... najlepszy dowód, że tylko oś złamana.

R A D O G O S T.

Co oś złamana!

R A D Z I M I R.

I dla tego się zatrzymali w bramie.

R A D O G O S T.

Trzeba więc posłać jak najspieszniej.

R A D Z I M I R.

Już ja myślałem o tē, i zaledwie stanąłem przed dworem, pytam, czy jest już kto? Niema nikogo! Niema nikogo; to dobrze, wnet kazałem moim ludziom pospieszyć z pomocą.

R A D O G O S T.

Zostawiam was, bo muszę zobaczyć kogo tak uprzejmie powitał, ten szalapat Radzimir.
(*odchodzi*)

R A D Z I M I R. (*do odchodzącego Radogosta*)

Przeproś ich za mnie mój ojcze, i zapewnij, że odtąd przez cały rok pozwolę im zawsze jechać przed sobą.

SCENA VI.

RADZIMIR, LUDOMIĘA.

RADZIMIR. *(po chwili)*

Milczenie, i zawsze milczenie, Panno Ludomiło, mnie się zdaje, że dziś mógłby ten dzień, tém się przynajmniej dla mnie odznaczyć, że nie ja pierwszy przerwałem milczenie.

LUDOMIĘA.

Bardzo przepraszam... ileż to razy Ludomiła z zamyślenia wyprowadza pana Radzimira.

RADZIMIR.

I ileż to razy panna Ludomiła wprowadza w zamyślenie Radzimira.

LUDOMIĘA.

Czy tak? nie sądziłam...

RADZIMIR.

Ah, to już za wiele... sądzisz więc pani, że mój humor wesoły, zamyka przystęp do serca wszelkim innym uczuciom.

LUDOMIĘA.

Panie Radzimirze jesteś tak grzecznym..

RADZIMIR.

Cóż więc?

LUDOMIĘA.

Czy nie moglibyśmy zmienić przedmiotu rozmowy? Jakkolwiek przyjemna...

R A D Z I M I R. "

Przecieżbyś ją pani w inną zmienić chciała, rozumiem.

L U D O M I Ę A.

Nie, ale przyzwyczajona widzieć go zawsze wesołym...

R A D Z I M I R.

W mocy pani, jest widzieć mię takim zawsze.

L U D O M I Ę A.

W mojej mocy!... czyliż ja mogłabym?...

R A D Z I M I R.

To zadziwienie, chociaż w ustach pani, jednak wątpliwość we mnie budzi. Kogo łaska wa natura obdarzyła tak anielskiém sercem, na czyjém obliczu sama cnota i prawda jaśnieje, tam słowa nie potrzebują świadczyć o prawdzie, bo ją każdy wyczytać potrafi. Nie Ludomiło, znam cię krótko, ale gdybym cię znał i wiek cały, nie znałbym cię lepiej. Raz tylko cię widzieć, raz mówić z tobą poufale, z szczerością, dosyć jest dla uczciwego człowieka. Jaką byłaś w dzieciennym wieku, taką jesteś dziś, taką będziesz w późnej starości. Cnotliwe serce, nie zna miary czasu, zmiany losu, niewzruszone w swoich zasadach, jedną

dąży drogą i od kolebki w wieczność przechodzi tak czyste, jak łza niewinności.

LUDOMIĘA.

Dziękuję za wiązanie panie Radzimirze, podobna pochwała...

RADZIMIR.

Tam pochwała jest ubliżeniem, gdzie prawda własną jaśniej siewietnością.

LUDOMIĘA. *(zmieniając rozmowę.)*

Jakże dzisiejszy dzień przepędzimy?

RADZIMIR. *(zmieszany, postrzegając zmianę!)*

Wesoło.

LUDOMIĘA. *(biorąc go za rękę)*

Wszyscy?

RADZIMIR.

O tak, wszyscy!

LUDOMIĘA.

To pięknie, bo już nie wiele brakowało, byłabym się rozgniewała na pana.

RADZIMIR.

Ah! co za szkoda że ja nie wiedziałem o tem; chciałbym był widzieć panią w gniewie, to musi być śmiesznie.

LUDOMIĘA.

Nie tak jak się zdaje... wczoraj... nie małą miałam przyczynę do gniewu. Wawrzyniec

zrzucił mi za okno najpiękniejszą doniczką kwiatów, którą ogrodnik przyniósł mi w podarunku, jako w wilją moich urodzin; ale za karę...

R A D Z I M I R.

Cóż za karę?

L U D O M I Ł A.

Wawrzyniec!..

RADZIMIR, (z uśmiechem.)

Oh! już się lękam za niego.

L U D O M I Ł A,

Musiał mi przynieść inny kwiat.

RADZIMIR. (całując ją w rękę)

Eylem tego pewny.

LUDOMIŁA. (niby obrażona, grożąc)

No, bo znowu się rozgniewam.

R A D Z I M I R.

I?...

LUDOMIŁA, (podając mu rękę);

I każę się przeprosić. (Radzimir całuje powtórnie.)

SCENA VII.

RADZIMIR, LUDOMIŁA, CZESŁAW.

- CZESŁAW. (wchodząc, spostrzegając to, zatrzymuje się chwilę, widząc w nim lekki cień cierpienia, zbliża się naprzód.)

R A D Z I M I R.

Ah! jak się masz kochany Czesławie, otóż to ten zawsze smutny, na honor, ja go nie widziałem jeszcze śmiejącego się.

C Z E S Ł A W.

Można być dla tego wesołym.

L U D O M I Ł A.

Dziękuję za taką wesołość, podobna do wesołości dziecięcia, któremu w dotkliwym bólu podają zabawkę, uśmiech jego łączy się ze łzami.

R A D Z I M I R.

No, tak źle znowu nie jest z Czesławem; taki humor! Ja na przykład, możebym miał powód być smutnym, a przecież się śmieję.

L U D O M I Ł A.

Ja proszę o to.

R A D Z I M I R.

Dopełnię rozkazu. Czesławie, nie dotrzymujesz twoich przyrzeczeń; dawniej byłeś współtowarzyszem moich ucies; później stałeś się miłe widzianym gościem, a teraz nawet zdajesz się unikać miejsc, gdzie tak życzliwie, gdzie z takim upragnieniem zawsze jesteś oczekiwany.

L U D O M I Ę A.

Co w tem, to ja muszę uniewinnić pana Czesława. Ojciec mój tysiącznemi obarcza go poleceniami, ciągle zajęty.

R A D Z I M I R.

Bardzo wierzę, znam jego przywiązanie do waszego domu, ale przecież przejeżdżając, wstąpić się godzi.

C Z E S Ł A W.

Rozumiałem... myślałem, że nie był widziany.

R A D Z I M I R.

Na drugi raz panie Czesławie, koła zdjąć każe.

C Z E S Ł A W.

Odtąd będzie powinnością moją, nie zasługiwać na podobne wymówki.

R A D Z I M I R.

Ale bo nigdzie, nigdzie nie bywasz; miasto dla niego nudne, zabawy uprzykrzone, towarzystwo natrętne; wieś ma swoje powaby, nie przeczę, i ja lubię ją, ale przecież każdy się ze mną zgodzi, że patrzeć bezustannie: jak bytło wychodzi, jak wraca, jak wyjeżdżają do roboty, jak z pola schodzą, to w końcu znudzi, i dla tego ja sobie co tydzień małą wy-

cieczkę wynajduję. Do miasta rzadko, ale do miłych sąsiadów, w gronie których, dom szanownego ojca pani, odnosi pierwszeństwo przed wszystkiemi.

LUDOMIŁA.

Zbytek łaski; ale i tu u nas to samo, bydlę wychodzi i wraca...

RADZIMIR.

Rozumiem, chcesz pani powiedzieć, że i tu powtórzony obraz, też same sprawiać musi wrażenie. Dla kogo innego być może, nie wiem dla czego ja inaczej sędzę. Tu wszystko (*spoglądając na Ludomiłę*) ma dla mnie jakiś powab, jakiś urok...

LUDOMIŁA. (*wesoło.*)

Ja nie jestem gospodarzem, nie podziękuję mu przeto za pochwałę, wracam do ojca...

RADZIMIR.

Pozwól pani towarzyszyć sobie; muszę prócz tego osobiście przeprosić przybyłych gości, których może, nie dosyć grzecznie z powozu wysadziłem.

LUDOMIŁA. (*odchodząc*)

Pan Czesław czy długo tu zostanie?

C Z E Ś Ł A W.

Kilka chwil, małe zatrudnienie...

L U D O M I Ł A.

Czy i dziś? myślałam: - że, ten dzień będzie wolny od zatrudnień.

R A D Z I M I R.

Do widzenia kochany Czesławie, a pospieszaj za nami. Porzuć twoje gospodarcze zatrudnienia, ja gdybym nawet wiedział, że mój ekonom dwa razy więcej snopków jak zwykle zrzuca do karczmy, zamiast do stodoły, nie oddaliłbym się ani na jedną chwilę.

LUDOMIŁA, *(nadając lekkie znaczenie.)*

Nie wszyscy są, nie wszyscy chcą, być tak uprzejmi, jak pan Radzymir. *(o dchodzą.)*

SCENA VIII.

CZESŁAW. *(sam)*

Nie wszyscy są, nie wszyscy chcą tak być być uprzejmi. Dobra Ludomiła, nawet w wymówce swojej łaskawa. Szczęśliwy Radzymir! ale godzien jej ręki. Serce szlachetne, umie szanować moje ubóstwo, i nie raz pragnął odgadnąć przyczynę cierpienia, aby tylko mógł pośpieszyć mi z pomocą. Ileż razy słyszałam

go mówiącego: »Czesławie, odziedziczony majątek, starannością i pracą ojca zebrany, przewyższa moje życzenia; dla ciebie los, skąpym się okazał, dozwól przyjaźni nagrodzić jego niesprawiedliwość. Podzielaj ze mną majątek, a może troski ustąpią z twojej duszy, smutek opuści twoje czoło!« Był to dowód przyjaźni, dobrego serca, ale on mię nie zrozumiał. Może majątek mógłby być podstawą mojego szczęścia, ale szczęściem nigdy. Komu los zostawił [w dziedzictwie chlubną pamięć ojca i szacunek ludzi, nie okazał się skąpym w darach; przenoszę tę spuściznę nad takie dostatki, których źródła częstokroć rumienić się trzeba. Nie w majątku więc różnica szczęścia; tu siedlisko cierpienia tém dotkliwszego, że udręcza pierś zboląłą, a tajemnica żelazną dłońią, usta mi zamyka. (*siada*)

SCENA IX.

‘ CZESŁAW. WAWRZYNIEC.

WAWRZYNIEC *chwilę patrzy na Czesława i kręcąc głową, mówi)*

Hm! hm!

C Z E S Ł A W.

Co to jest?

W A W R Z Y N I E C.

Tak, tak, właśnie co to panu jest, chcia-
łem się zapytać.

C Z E S Ł A W.

Mnie, dobry Wawrzyńcze, cóż mi ma być.

W A W R Z Y N I E C.

Tak zamyślony, tak blady... jeżeli widzę je-
szcze dobrze. (*wpatrując mu się w oczy*) Pan
się nie śmiałeś, prawda?

C Z E S Ł A W.

Z czegożby?

W A W R Z Y N I E C.

Prawda, a więc... eh, do stu bisurmanów!

C Z E S Ł A W.

Czy chciałeś co odemnie?

W A W R Z Y N I E C.

Panna Ludomiła, prosi pana do sali.

C Z E S Ł A W.

Śpieszę.

W A W R Z Y N I E C.

Już gości pełno. Mam nadzieję, że niedłu-
go u nas będzie odmiana.

(*wraca Czestaw*)

C Z E S Ł A W.

Co mówisz?

W A W R Z Y N I E C.

No... ja nic nie mówię... ale panna Ludomi-
ła dziś skończyła ośmnaście latek...

C Z E S Ł A W.

I cóż?

W A W R Z Y N I E C.

Jegomość radby widział koniec zalotów...,
i ja to samo.

C Z E S Ł A W.

Więc?..

W A W R Z Y N I E C.

Więc może pan Radzimir (*Czesław odwra-
ca się*) Ja nie mówię, żeby to pewno było;
ale tak, jakem widział, że w pańskich oczach,
coś się kręciło, tak bodajem dożył srebrnego
wesela panny Ludomiły, jeżeli dziś nie będą
oświadczyły. (*Czesław siada i udając obo-
jętność, przegląda papiery*) Pan Radzimir coś
bardzo panny nie odstępuje, nasz pan nie od
tego, panna Ludomiła, kochane dziecko, od-
da mu rękę... i wszyscy będziemy szczęśliwi.

C Z E S Ł A W.

Shczęśliwi! (*porywa się*)

W A W R Z Y N I E C.

To pewno, alboż nie?

Tom VII.

16

C Z E S Ł A W.

Oh tak!... Radzimir godzien jej ręki, on ją kocha.

WAWRZYNIEC. (*z radością*)

Ja to naszemu panu mówiłem.

C Z E S Ł A W.

Ona podziela jego uczucia.

WAWRZYNIEC. (*dowcipnie*)

Ja to pomiarkowałem.

C Z E S Ł A W.

Pan Radogost pragnie w duszy tego związku.

WAWRZYNIEC, (*z pewnością*)

Ja to odgadłem.

C Z E S Ł A W.

A więc, cóżby się sprzeciwić mogło?

WAWRZYNIEC. (*po namyśle*)

Nic.

C Z E S Ł A W.

To' pewno, oni będą szczęśliwi (*ze łzami*)
Jeżeli Bóg dopełni najszczerzych życzeń mo-
jego serca... oni będą szczęśliwi. (*wychodzi*)

WAWRZYNIEC. (*sam, patrząc długo za nim
roztkliwiony*)

Kochany chłopiec! Co to za przywiązanie,

co to za szlachetność. Oh! gdyby jego ojciec żył, jakaz pociecha dla starości, eh! do stu bisurmanów, otóż mamy, rozplakałem się w dzień zaręczyn kochanej panny. *(po chwili)* Ale i Czesław płakał, czy także z radości, to pytanie. Kochany Czesław, ale to być nie może, to być nie powinno. Nie powinno, ba i bardzo, właśnie się na to zważa. *(po chwili)* Panna Ludomiła nie bardzo się cieszy, no, tfu, głupi stary, z takimi postrzeżeniami, ni- by to panna ma skakać z radości, gdy jej powiedzą, że męża dostanie; potem to się cieszą, a z początku płaczą! ej filutki.

SCENA X.

WAWRZYNIEC, RADOGOST,
później LUDOMIŁA.

R A D O G O S T.

Gdzież on jest, gdzież on jest?

W A W R Z Y N I E C.

Kto panie, kto?

R A D O G O S T.

A któżby!...

W A W R Z Y N I E C.

Ja nie wiem.

R A D O G O S T.

Wszakżeś tu przyszedł umyślnie po niego,
tak mi mówiła córka.

W A W R Z Y N I E C.

Ehe, tak, przyszedłem po niego. (*zamysłony*)

R A D O G O S T.

No?...

W A W R Z Y N I E C. (*j. w.*)

He?

R A D O G O S T.

No i cóż?....

W A W R Z Y N I E C. (*j. w.*)

Co panie?

R A D O G O S T.

Otoż mamy rozmowę!

W A W R Z Y N I E C (*zamysłony*.)

Prawda... dziwna... (*na stronie*) tu coś w tém
jest.

R A D O G O S T.

Gdzież się tedy podział?

W A W R Z Y N I E C.

Poszedł już dawno (*na stronie*) do stu bi-
surmanów!... (*kręcąc głową*) hm!... hm!...
coś tu w tém jest. (*odchodzi*)

R A D O G O S T. (*zatrzymując go*)

Wawrzyńcze, słuchajże mię przecię. Co
się tobie stało?

W A W R Z Y N I E C.

Co się panu stało? czego pan chce dzisiaj odemnie?

R A D O G O S T.

A toć przecię odpowiedz mi, gdzie poszedł Czesław?

W A W R Z Y N I E C.

Jak to? czy go nie ma w sali?

R A D O G O S T.

Ztamąd idę, nie widziałem nigdzie.

W A W R Z Y N I E C.

Nie poszedł do sali. (n. s.) na wezwanie, na prośbę panny Ludomiły, coś tu w tém jest. (odchodząc, spotyka Ludomiłę.)

LUDOMIŁA. (zatrzymując Wawrzyńca)

Prosiłam cię... (spozstrzega ojca i zamilcza, idąc naprzód sceny, cokolwiek zmieszana.)

WAWRZYNIEC. (przyglądając się jej.)

Tam pan Radzymir, przyszły narzeczony, a tu... panua... przyszła narzeczona... oj, coś tu w tém jest! (wychodzi.)

R A D O G O S T.

Źle u mnie w domu, źle!

LUDOMIŁA. (niespokojna.)

Dla czego mój ojciec?..

R A D O G O S T.

Wawrzyniec głowę stracił.

LUDOMIŁA. (*nieca pewniejsza*)

Wawrzyniec ?

RADOGOST (*bacznie ją uważając*)

Nie mogłem się dowiedzieć, gdzie Czesław,
a przecież mam dla niego piękny podarunek.

LUDOMIŁA. (*z małym zadowoleniem*)

Dla niego ?

R A D O G O S T.

Tak, dziś wszyscy dzielić będą moją radość.

LUDOMIŁA. (*zwolna przymilając się ojcu*)

Nie możnaby wiedzieć?...

RADOGOST. (*z żartem całując ją w głowę,
powtarza*)

•Nie możnaby wiedzieć, to i Ludomiła ciekawa... ah! to brzydko... myślałem, żeś ty wolna od tej kobięcej wady.

LUDOMIŁA. (*z przyznaniem się*)

Alboż i ja nie jestem kobietą?

R A D O G O S T.

Kiedy bo ja ciebie uważam za dziewczynę pełną doskonałości.

LUDOMIŁA. (*skromnie*)

Dobroć ojca, zasłania błędy córki,... a mam ich wiele.

R A D O G O S T.

No... no... radbym je poznał.. choć kilka...

LUDOMIŁA. (*po chwili*)

Naprzód... (*ze wstydem*) Będziesz się śmiał ojciec ze mnie, i dla tego o nich zamilczę, innym razem. Dziś w dzień moich urodzin, nie chcę się przyznawać do tego, (*tuląc się do niego, z przymieleniem dziecinnem*) coby może drogą miłość ojca zmniejszyło.

R A D O G O S T.

Zmniejszyło, co ty mówisz Ludomiło, to bluźnierstwo. Tyś moją duszą całą! Zmniejszyć moje przywiązanie, Bóg tylko miałby władzę; bo moja dusza jego dziełem. Ale dla czego ty nie zostałeś w salonie, chyba że Czesław zastępuje nasze miejsce.

L U D O M I Ł A.

Otóż to właśnie pan Czesław nie pamięta o tem, że mój ojciec nie lubi się zajmować tą pozorną etykietą; Ludomiła nie tak dawno jeszcze rządy domu objęła, aby dokładnie być z tym obeznaną, cały ciężar spada na pana Cze-

sława, a jego nie ma, sądziłam, że jeszcze tu.....

R A D O G O S T.

Widziałem ja dobrze, jak się moja Ludomiła uwijała,.. I powiem ci szczerze, nie bardzo zręczna jesteś do tego; dla tego pytam się o Czesława, to moja prawa ręka. Gdyby nas kiedy opuścił, nie pocieszyłbym się po jego stracie, uważam go za syna.

LUDOMIŁA, (z lekką obawą)

Dla czegożby nas miał opuścić?

R A D O G O S T.

Oh! dla czego, dla czego... przecież całe życie nie spędzi przy starym Radogóście; jakaż przyszłość!

LUDOMIŁA. (zamyślona)

To pewno.

RADOGOST. (uważając ją nieznacznie)

Za powinną opiekę, odwdzięczył mi się stokrotnie, i ja teraz, zostane jego dłużnikiem. Całą naszą pomyślność, spokojność, winniśmy jego zabiegom, staraniu. Gdzie on jest, Radogost nie wątpi, że wszystko pójdzie dobrze. Ja nawet nie wiem czym mu to wynagrodzę?

LUDOMIĘA.

Nagrodzić, o mój ojczy, co z serca pochodzi, tylko sercem nagrodzić można; a przecież Czesław na to uznać się nie może. Ja raczej mogłabym być zazdrosną, o podział uczucia, któreby wyłącznie do mnie należeć powinno.

RADOGOST.

Jakto Ludomięo, czyliż ty nie zajmujesz pierwszego miejsca w mej duszy.

LUDOMIĘA. (*ściskając ojca*)

Wiem o tém, i byłabym niesprawiedliwą, tak jak ty byłbyś nim mój ojczy, gdybyś nie kochał Czesława.

RADOGOST.

He!... he!... (*cokolwiek surowo*) Jak to rozumiesz moje dziecię?...

LUDOMIĘA.

Że słusznie posiada twoją życzliwość.

RADOGOST.

No, ja myślę, że i ty go nie nienawidzisz.

LUDOMIĘA.

Nienawidzić? trzeba mieć powód żeby nienawidzić kogo; a ja o tém jeszcze nie wiem czybym mając powód, mogła nienawidzić.

R A D O G O S T.

To słusznie, to pięknie. Ale gdzież ten Czesław?
(*ostrożnie wpatrując się w Ludomiłę*) On mi się
jakoś od niejakiego czasu smutnym wydaje...
Zważałaś ty? w jego twarzy wyraz niespokoj-
ności, cierpienia...

LUDOMIŁA. (*z lekkim odznaczeniem*)

Nie, nie uważałam tego.

R A D O G O S T.

Eh! to pewno mi się zdawało, jakiżby po-
wód? (*zmieniając zupełnie mowę*) Powiedz mi
moja Lndomiło, co też ty myślisz o Radzi-
mirze?

LUDOMIŁA. (*lekko*)

Bardzo grzeczny.

R A D O G O S T.

Nieprawdaż?

L U D O M I Ł A.

Pięknie tańczy.

R A D O G O S T.

Do zachwycenia!

L U D O M I Ł A.

Należy do liczby mile widzianych sąsiadów.

R A D O G O S T.

Nie zaprzeczam.

L U D O M I Ł A.

Wesoły.

R A D O G O S T.

Ty to lubisz.

LUDOMIĘA. (*cokolwiek wachając się w odpowiedzi!*)

Jak czasem.

R A D O G O S T.

Nie mówisz mi nic o jego sercu, jego za-
letach duszy?

L U D O M I Ę A.

Nigdy nie mówię o tém, czego nie wiem, wspo-
mniałam tylko o tém co widzę.

R A D O G O S T. (*po chwili*)

Ludomięo, na co mam dłużej ukrywać przed
tobą...

L U D O M I Ę A.

Cóż takiego?

R A D O G O S T.

Chciałbym, ażebyś dziś...

LUDOMIĘA, (*domyślając się zagaduje*)

Była lepszą gospodynią jak jesteś, i pilno-
wała gości, którzy rocznicę twoich urodzin
obchodzą, przebacz mi ojcie, przebacz, (*ca-
łuje ojca i wybiega.*)

SCENA XI.

RADOGOST, później RADZIMIR.

RADOGOST. (*sam.*)

Zrozumiała mię, jestem pewny, a jednak-
ze... co to ma znaczyć?

RADZIMIR. (*wbiegając ociera pot z czoła*)

Dosyc, dosyc, na honor nie mogę. Oh!
złakłem się!

R A D O G O S T.

A to czego?

R A D Z I M I R.

Kielicha.

R A D O G O S T.

Kielicha łać się, wstyd.

R A D Z I M I R.

Nie panie Radogoście, nie mogę; butelka
znikła w kielichu, i jeszcze daleko do pełne-
go, wypić duszkiem, to za wiele; i pewny je-
stem, że nawet panna Ludomiła tego nie ża-
dałaby, chociaż piliśmy za jej zdrowie.

R A D O G O S T.

No, no mój Radzimirze, nie przymuszamy,
tylko że uciekłeś z placu, to nie pięknie.

R A D Z I M I R.

Może też to był pozór jedynie, kto wie...

R A D O G O S T.

Pozór?

R A D Z I M I R.

Krótko mówiąc (*zbliża się do Radogosta*)
paunie, znaną ci moja rodzina, mój majątek,
mój sposób myślenia, może cokolwiek pu-
stak....

R A D O G O S T.

Ale uczciwy; miałem niejedną sposobność
przekonać się o tém.

R A D Z I M I R.

Ile mi się zdaje, nie odmawiasz mi pan swo-
jego szacunku.

R A D O G O S T.

Masz go, bo też zasługujesz na niego.

R A D Z I M I R.

Kiedy tak, ośmielę się...

R A D O G O S T. (*niby nie domyślając się*)

Ośmielisz się!.. tam do biesa, to nie бага-
tela; tu idzie o rzecz wielkiej wagi, bardzo
ciekawym.

R A D Z I M I R.

Przyjmij mię paunie za zięcia.

RADOGOST. (*po chwili*)

To oświadczenie jest bardzo pochlebne dla mnie, ale...

RADZIMIR. (*zgadując, ze smutkiem*)

Ale go nie przyjmujesz...

R A D O G O S T.

Bynajmniej, nie to chciałem powiedzieć. Ale znasz dobrze moje przywiązanie do Ludomiły, jej zostawiłem wybór, może mię nazwą ojcem bez powagi, ojcem słabym... niech i tak będzie, ale powtarzam raz jeszcze: Ktokolwiek pozyska serce mojej córki, ten i we mnie najszczerzego znajdzie ojca. Co moja Ludomiła kochać będzie, ja najprzód już Kocham. To ci tylko powiadam panie Radzimirze: że gdyby jej wybór padł na ciebie, byłoby mi to bardzo przyjemnie.

R A D Z I M I R.

Wdzięchen mu nieskńczenie! A więc Kochany panie Radogoście, możesz mię już jak syna uściskać; bo jeżeli znam cokolwiek miłość, panna Ludomiła, podziela ją ze mną.

RADOGOST. (*z zadziwieniem, ale wątpliwie*)

Czy tak?

R A D Z I M I R.

Tak, tak, nie chciałem jej uczynić wyznania, dopokibym nie pozyskał twojego panie zezwolenia, teraz pewny prawie jestem, że dziś oboje już ojcem cię nazywać będziemy. Spieszę do niej, wynajdę stosowną chwilę i pobłogosławisz nas. (*wybiega*)

RADOGOST. (*sam, zamysłony*)

A więc Radzimir... zacny młodzian, rodzina pełna zaszczytów, zasłużonych zaszczytów. Ludomiła będzie z nim szczęśliwą, nie wątpię. Gdyby nawet usterki młodości... Któż ich nie popełniał; i my ojcowie ganiąc naszych synów, przypomnijmy sobie, czy i my podobnie nie postępowaaliśmy.

SCENA XII.

WAWRZYNIEC, CZESŁAW, RADOGOST,
później SŁUŻĄCY.

WAWRZYNIEC. (*prowadząc Czesława za rękę*)

Oto panie jest winowajca! Eh do stu bisurmanów, konia siodłać kazał, myślał wyjechać.

R A D O G O S T.

Wyjechać? gdzie?

C Z E S Ł A W.

Nie daleko, dziś termin.

R A D O G O S T.

No, nie bądźże tak skrupulatnym, odbierzesz jutro; myślę że nasz dłużnik gniewać się o to nie będzie. Zabaw z nami, przecież pamiętaj, że ty jesteś gospodarzem, głową domu i to oddawna, Ludomiła szuka cię wszędzie, zostawiła ją samą.

C Z E S Ł A W.

Pan Radzymir jest przy niej.

R A D O G O S T. (*z szlachetnym gniewem*)

Radzymir nie jest moim synem.

W A W R Z Y N I E C. (*wolno z namysłem*)

Ze nim być może, to znów co innego. (*Czesław zadrzał,*) (*n. s.*) Oj tu coś jest.

R A D O G O S T.

Mój Wawrzyńcze, prosiłem cię...

W A W R Z Y N I E C.

O milczenie, alboż co powiedziałem? do stu hisurmanów, u mnie tylko pewność znaczy coś; ale kiedy się powie: być może, to jeszcze się nie powiedziało: jest.

C Z E S Ł A W.

To prawda; ale nie widzę przyczyny, dla cze-

goby życzenie miało nie być dopełnionem, kiedy wszystko ten związek czyni pożądanym.

RADOGOST. (*niby z zajęciem*)

Jak sądzisz mój Czesławie?

CZESŁAW. (*z ukrytym żalem*)

Ani wątpię o tém, panna Ludomiła (*z wzrastającym zapalem*) jest doskonałością samą, od pierwszych dni dzieciułych, wzrosła nasza znajomość, była najlepszem dziecięciem, najlepszą córką i będzie najenotliwszą żoną... kocha...

R A D O G O S T.

Radzimira?

CZESŁAW, (*z cicha*)

Tak sędzę.

WAWRZYNIEC. (*n. s.*)

Sklamał panicz, sklamał.

R A D O G O S T.

Jakiz dowód?

CZESŁAW. (*z żalem*)

Dowód? mogęz ja wiedzieć o innym, o takim, jakiegobys pan nie znał; czyliż panna Ludomiła miała kiedy jakie tajemnice?

R A D O G O S T.

To prawda, dla tego tez ja nie dostrzegłem jakos miłości.

CZESŁAW. (*z nadzieją*)

Czy być może?

R A D O G O S T.

Tak, tak, tylko że to młode oczy, są lepsze od starych.

WAWRZYNIEC. (*z znaczeniem*)

Nie zawsze, (*patrząc na Czesława*) kiedy się chce co zobaczyć, to i stary zobaczy.

R A D O G O S T.

Mój Wawrzyńcze, cóżeś takiego zobaczył!

W A W R Z Y N I E C.

Ja, nic... ja tylko powiedziałem, że kiedy się co chce zobaczyć...

R A D O G O S T.

Nudzisz mię. Czesławie, wróćmy do swego, z kąd domysł, że Ludomiła kocha Radzimira?

C Z E S Ł A W.

Czyliż nie zasługuje na to?

W A W R Z Y N I E C.

Wieluż to?...

R A D O G O S T.

Wawrzyńcze, rozgniewasz mię.

W A W R Z Y N I E C.

Ej do stu bisurmanów! czyliżem ja temu winien, że mię szczęście naszej panny obchodzi?

R A D O G O S T.

Więc słuchaj, co nam Czesław powie. No i cóż?...

C Z E S Ł A W.

Życzliwość pańska dla Radzimira, jawnie wskazuje córce, powinność dobrego dziecięcia.

R A D O G O S T. (*uderzony myślą*)

Doprawdy? tego nie chciałem. Radzimir oświadczył się.

C Z E S Ł A W. (*n. s.*)

Już!.. (*obojętnie*) Czy tak?

W A W R Z Y N I E C. (*pilnie lecz ostrożnie wpatrując się w Czesława.*)

Oj tu coś jest, niech mówią co chcą, tu coś jest!

R A D O G O S T.

Odpowiedziałem mu: że Ludomile zupełnie zostawiona wolność wyboru.

C Z E S Ł A W.

Ani wątpić można, że przyjmie jego ofiarę.

R A D O G O S T. (*prędko*)

Byłoby mi to bardzo przyjemnie; syn dawnego przyjaciela mojego, podobnie jak i ty mój Czesławie, ma prawo do mojej przyjaciżni, a jeżeli i córka go pokocha, będę miał

drugiego syna, bo ty Czesławie, zawsze pierwszym będziesz.

CZESŁAW. (*zimno po chwili*)

Czy mam pozostać dziś w domu?

RADOGOST. (*zdziwiony, po chwili*)

Tak, tak,... proszę cię.

C Z E S Ł A W.

Idę więc do gości. Może panna Ludomiła ma wydać jakie rozkazy?

SŁUŻĄCY. (*wchodząc*)

Notarjusz pański.

C Z E S Ł A W.

Ha! (*odchodzi prędko*)

R A D O G O S T.

Niech się zatrzyma w moim gabinecie, i przejrzy leżące tam papiery. (*służący odchodzi*)

WAWRZYNIEC. (*wolno, jak z pewnym przekonaniem*)

Oho! ho!... tu coś jest...

R A D O G O S T.

Tak, prawdę mówisz Wawrzyncze, ale milczenie. Poznaliśmy tajemnicę jednego serca, i wyznaję ci z zalem...

WAWRZYNIEC. (*z gniewem*)

Panie, co to znaczy?... Twój stary sługa bluźni zapewne obwiniając ciebie, ale bluźnić

musi. Czesław ubogi, ale bogaty przymiotam; serca, bogaty [twoim] przywiązaniem, bogaty miłością wszystkich, miałzeby być wzgardzonym dla tego, że smutne wypadki, przywiodły jego ojca do nędzy, że w spadku tylko cnoty odebrał? Czyliż ten ma więcej zalet, kto się bogatym urodził?

R A D O G O S T.

Ale któż ci o tem mówi, zkażże wniosek, że ta przyczyna?...

W A W R Z Y N I E C.

Nie ma innej, nie widzę innej, i do stubi-surmanów!...

R A D O G O S T.

Ale Ludomiła go nie kocha.

W A W R Z Y N I E C. *(po chwili)*

Ah, to znowu co innego. Dla czegożby go nie kochała? kiedy my go kochamy, przecież ona jest córką pańską, przecież nie wioski, nie powozy, stanowią u niej wartość człowieka?...

R A D O G O S T.

Wiem dobrze o tem, ale serce młodej dziewczyny, inaczej szczęście sobie wyobraza.

W A W R Z Y N I E C.

Eh, bo kto też sercu młodej dziewczyny

wolność zostawia. Bardzo pięknie być dobrym ojcem; ale ileż to razy dzieci potem płakały na zbytne pobłażanie rodziców.

R A D O G O S T.

Dosyć tego, zapominasz, żeś przed godziną sam pochwalał moją myśl.

W A W R Z Y N I E C.

Nowy dowód, że my starzy nie wiemy co-robimy.

SCENA XIII.

RADZIMIR, LUDOMIŁA, WAWRZYNIEC,
RADOGOST.

LUDOMIŁA. (*wprowadzona przez Radzimi-
ra, staje przed ojcem, z oczyma spuszczone-
mi w ziemię*)

R A D Z I M I R.

A cóż, czy nie powiedziałem ci panie, że wkrótce będę najszczęśliwszym z ludzi?

W A W R Z Y N I E C.

Jakto?

R A D O G O S T.

Co mówisz!

R A D Z I M I R.

Panna Ldomiła, przyjęła moje oświadczenie, i w obliczu twojem, składam przysięgę niewygasłej miłości.

R A D O G O S T.

Ludomiło, czy taka jest wola twojego serca?

W A W R Z Y N I E C.

Trzeba się zastanowić... bo to nie na dziś... u was psuło w głowie.

LUDOMIŁA. (*w następujących jej słowach, posłuszeństwo, nie miłość, okazywać się winno*)

Powiedziałeś ojczu: że gdyby mój wybór padł na niego, byłoby ci bardzo przyjemnie; czyliż nie dopełniam powinności córki, wybięrając tego, którego twoje przywiązanie dla mnie przeznaczyło! (*z znaczeniem*) Kochasz mię, chcesz widzieć szczęśliwą. Przyjmuję ofiarę pana Radzimira. Obym potrafiła zasłużyć na nią godnie! (*podnosi klęczącego Radzimira*)

W A W R Z Y N I E C.

Stało się!

R A D Z I M I R.

Cóż wyrówna mojej radości?

R A D O G O S T.

Ja wam z duszy błogosławię. (*staje między niemi*) Poproś tu notariusza i pana Czesława.

LUDOMIŁA. (*n. s. cicho*)

Czesława?

WAWRZYNIEC. (*niechętnie*)

Któż zostanie w sali, bo ja tutaj być muszę.

R A D O G O S T.

Wszakże to tylko na chwilę, wkrótce większa jeszcze radość ożywi grono moich przyjaciół, gdy się dowiedzą o weselu mojej Ludomiły.

WAWRZYNIEC (*odchodząc.*)

Nie, kiedy kto chce zobaczyć.... (*odchodzi*)

R A D O G O S T.

Intercyza już gotowa, również akt, który w dzień zaręczyn mojej Ludomiły, miał być podarunkiem dla Czesława, on sam je przywiózł, nie wiedząc, co w sobie zawierają. Radzimirze, mam tylko jedną córkę, ale i Czesława tak kocham, że majątek własnej córki uszczuplam, aby zapewnić przyszły los poczciwego człowieka. Pewny jestem, że tak jak córka moja, nie odmówisz mi tej ostatniej już w mojem życiu radości

R A D Z I M I R.

Dziękuję ci panie, za ufność we mnie położoną, i aby ci dowieśdź czystości moich u-

czuć, chętnie, jeżeli prośba moja może mieć jaką władzę, podzielę cały majątek z Czesławem.

RADOGOST. (*całując Radzimira i Ludomiłę*)

Kochane dzieci, ten tylko ciężar jeszcze miałem na sercu, już teraz umrę zupełnie spokojny. Ludomiło, nie troszczę się o twoją przyszłość. Kto wspaniałość i dobroczynność dostał w udziale, ten ma wszystkich cnót zarody.

SCENA XIV.

WAWRZYNIEC, NOTARJUSZ, RADZIMIR, LUDOMIŁA, CZESŁAW, RADOGOST.

CZESŁAW. (*blady, zmieniony, z zmyśloną spokojnością*)

Jestem na rozkazy.

RADOGOST.

A tóż znów co za mowa? Na rozkazy, kiedyż to Czesław rozkazów słuchać musiał? Prosiemy cię tylko.

NOTARJUSZ. (*siadając*)

Jestem gotów!

Tom VII.

18

R A D O G O S T .

Panie Notarjusz, oto państwo młodzi.
(*bierze Rādzimira i Ludomiłę za ręce i pro-
wadzi przed stół po lewój*)

N O T A R J U S Z .

Intercyza w zupełnej formie prawa. (*wpi-
suje nazwiska*)

CZESŁAW. (*n. s.*)

Boże! nie sądziłem, aby tyle cierpien zdo-
łało znieść serce człowieka. Podpisała! Ah!
Już do niego na wieki należy. (*podpisali ko-
lejno: Radogost, Ludomiła, Radzimir*)

R A D O G O S T .

No, Czesławie, kolej na ciebie.

CZESŁAW. (*zimno, z rozpaczą w duszy*)

Chętnie. (*idzie zwolna, bierze pióro, chce
podpisać, chwieje się i upada na krzesło*)

LUDOMIŁA. (*z krzykiem boleści*)

Ah!

WAWRZYNIEC. (*ratując go*)

Biedny chłopiec! ah! ja mówiłem, że on
słaby.

R A D O G O S T .

Wiedziałem że cierpi, ale ukrywał to prze-
demną.

RADZIMIR. (*zwróciwszy uwagę na przestrach Ludomily*)

Co za podejrzenie!

CZESŁAW. (*z wolna przychodząc do siebie*)

Przebaczcie państwo! to nie, przyznam się szczerze, od kilku tygodni sam nie wiem co mi jest., jakaś tęskność...

R A D O G O S T.

Tęskność?..

W A W R Z Y N I E C.

Gdyby to miało się nazywać tajemnicą, to już nie wiem co by było widoczném.

CZESŁAW. (*z obawą*)

Jaką tajemnicą?

WAWRZYNIEC. (*miarkując się*)

Ze jesteś mój panie Czesławie, słaby od niejakiemu czasu. (*spojrzał ukradkiem na pannę Ludomilę, która z przestrachem spogląda na Radzimira*)

L U D O M I Ł A.

Boże!

RADZIMIR (*n, s,*)

Ha! jakie światło!

CZESŁAW, (*przypominając sobie*)

Miałem podpisać?...

RADZIMIR. (*do siebie*)

Uważajmy.

CZESŁAW, (*idzie spokojnie do stolika i podpisuje*)

Już!

WAWRZYNIEC (*na stronie cokolwiek oburzony*)

Oj ta panna Ludomiła, niech mię kule biją...

CZESŁAW (*zhliza się do Ludomiły*)

Pani, odtąd już cię nie będę siostrą moją nazywać; był czas, kiedy ci dawałem to drogie imię, wiek mój usprawiedliwiał zapomnienie różnicy, jaka istniała między nami, a dobroć twojego czcigodnego ojca, pobłażała dziecinnemu przywiązaniu. Opuścisz rodzinny dom, uniesiesz zarazem i radość i pokój, w progi męża twojego, z nami pozostanie tylko żal, wspomnienia, i ta pociecha, że ty jesteś szczęśliwą! (*klęka, całuje ją w rękę*) Siostro! Bóg czyta w mojem sercu, i widzi szczerosc tego podziękowania, które składam u nóg twoich, za przywiązanie, za tę życzliwość, jakich nie odmawiałaś towarzyszowi twoich dni dziecinnych. Twoja dobroć, zostanie tu wy-

rytą na wieki, chociaż może już się widzieć nie będziemy.

RADOGOST. (*ocierając łzy*) -

Kochany Czesławie, dla czego przymuszasz mię że radość mieszam ze łzami smutku? z kądże to pożegnanie, i w jakiej chwili!

LUDOMIĘA. (*podnosząc go*)

Czesławie, bracie mój. I twoja przyszłość będzie tak błogą jak moja (*spogląda na Radzimira skromnie, podaje mu rękę i spuszcza oczy*) Nasze dni razem ubiegały, nasze myśli jednoczyły się; (*zmieniając głos*) bo (*spoglądając na ojca*) tenże sam ojciec czuwał nad nami.

WAWRZYNIEC. (*n. s. z wyrzutem surowym*)

Tak, a idzie za innego; ni ztąd ni zowąd, wyrwał się, oświadczył i bierze; a ty cierp, ah!...

NOTARJUSZ. (*wstał, ukończywszy swoje czynności, oddaje wygotowane interczy Radzimirowi, który stoi zamyślony*) Oto są.

R A D Z I M I R.

Cóż to? (*przypominając sobie*) Ah! interczy za ślubna!

C Z E S Ł A W.

Boże!

RADOGOST. *(po chwili)*

Ej do stu piorunów. żeby kto na nas patrzył, ręczę, żeby nie poznał, iż dziś zaręczyny kochającej się pary, a razem chwila szczęścia i radości dla nas wszystkich.

W A W R Z Y N I E C.

To prawda! bo też...

R A D O G O S T.

Radimirze, idźmy do sali, przedstawię cię, jako przyszłego zięcia mojego.

R A D Z I M I R.

Służę. *(wychodzi z Radogostem,)*

W A W R Z Y N I E C.

Ja się tam z tego związku nie bardzo cieszę, nie wiem, jak kto. *(idzie za niemi, potem, odchodzi w głąb, niby z gniewem)* i nie pójdę do sali.

SCENA XV.

CZESŁAW, LUDOMIŁA, a później WAWRZYNIEC.

LUDOMIŁA. *(chcąc odejść, do Czesława po chwili)*

Bracie!

CZESŁAW. (*z rozrzewaniem*)

Jeszcze bracie! prawda, wszakże to nie był jeszcze ślub.

LUDOMIĘA.

Czyliż i potem nie będzie mi wolno brać cię nazywać?

CZESŁAW.

Mąż pani, może przypomni jej, że nim nie jestem.

LUDOMIĘA. (*udając wesolość*)

Mój mąż? przecież się nie będzie chciał okazywać moim panem, ale łagodnym, dobrym mężem.

CZESŁAW.

Nie wątpię bynajmniej; przy tobie znikła władza, bo któżby chciał rozkazywać, gdzie prosić jest roskoszą.

LUDOMIĘA.

Może nie wszyscy tak myślą! Czesław przez dobroć tak mniema, ale Radzymir...

CZESŁAW.

Będzie umiał szanować skarb, którym rzadko niebo śmiertelnych obdarza.

LUDOMIĘA.

Bracie, bo się będę gniewać na ciebie, (*zła-*

godném spojrzeniem i zmyśloną wesołością) a będziesz tego żałował.

C Z E Ś Ł A W.

Już dla mnie wszystko obojętnem na ziemi, już dla mnie nie ma kary; gdy piorun dzwon zdruzgotuje, próżnoby kto chciał dźwięk z niego wydobyć.

L U D O M I Ł A.

Cóż to za porównanie?

C Z E Ś Ł A W.

Tak... mimochętnie.

LUDOMIŁA. *(po chwili)*

Panie Czesławie.

CZESŁAW. *(przerażony)*

Ha!... słyszę już żonę Radzimira.

L U D O M I Ł A.

Jedno tylko pytanie, czy odpowiesz mi?

C Z E Ś Ł A W.

Dla czegoż nie? czucie już przygastło, usta wszystko powiedzą, bo serce martwe lodem ścięte; rzecz dziwna, tu... *(wskazuje na serce)* oddawna śmierć; a ja jeszcze żyję, widzę cię, winszowałem ci..

L U D O M I Ł A.

Panie Czesławie, w nieobecności mojego ojca, niech obraz matki mojej, będzie świad-

kiem naszej rozmowy. Błagam cię, wyznaj mi przyczynę twojego cierpienia.

CZESŁAW. (*sucho, zimno*)

Kocham cię, a ty zostajesz żoną innego!

L U D O M I Ł A.

Ah!

WAWRZYNIEC. (*nieco wcześniej wyszedł ze drzwi w głębi i słyszał ostatnie wyrazy*)

A co, kiedy kto co chce zobaczyć; ale to się tak nie skończy!... (*przechodzi przez scenę, idzie na lewo*)

C Z E S Ł A W.

Ukarz mię za tę śmiałość, ale błagam nie obarczaj twoją pogardą, twoją nienawiścią. Zapomniałem com winien twojemu ojcu, zapomniałem, że jestem biednym sierotą, że córka mojego dobroczyńcy, powinna była być przedmiotem czci i uwielbienia, nie celem najtkliwszej miłości. Tak, przed obrazem matki twojej, przysięgam, że pierwój usta moje byłyby na wieki zamilkły, nimby tajemnica ta, opuściła kiedy moje piersi.

L U D O M I Ł A.

Oh! Czestawie!

C Z E S Ł A W.

Jeszcze słyszę Ludomiłę, jeszcze mię pamięć unosi do dni szczęścia i nadziei! (*Wawrzyniec wprowadza Radzimira; stają ci-cho w głębi.*) Ale bądź spokojna, już nie zamieszam twojego pokoju. (*klęka*) Nad szczęście moje, nad życie, nad własny mój honor, przenoszę twój i twojego męża, niech tylko dowiem się z ust twoich, czy żal, czy też pogarda, stanie się moim udziałem?

L U D O M I Ę A.

Pogarda! Czesławie. (*z wylaniem*) nie znałeś Ludomiły!

CZESŁAW. (*powstając z najwyższą radością*)

Ha!... Boże! to jedna moja zbrodnia. Przebac mi, przebac! żegnam cię, żegnam na wieki żonę Radzimira! (*odchodząc postrzega Radzimira i Wawrzyńca*)

S C E N A X V I.

RADZIMIR, CZESŁAW, LUDOMIŁA, WA-
WRZYNIEC.

C Z E S Ł A W.

Wielki Boże!

L U D O M I Ł A.

Ah! cóżem uczyniła!

R A D Z I M I R.

Szczęśliwym człowieka, wtenczas, kiedyś 'go
chciała nieszczęśliwym uczynić.

WAWRZYNIEC (n. s.)

Ha... otóż to...

C Z E S Ł A W.

Ah, przebacz!...nie byłem panem siebie.

R A D Z I M I R.

Z łatwością daję wiarę; któryż niewidomy
odzyskawszy wzrok jest panem swojego unic-
sienia? a jednakże powinienes był pomysleć,
że ta radość w boleści ma źródło.

C Z E S Ł A W.

Zgaduję.

R A D Z I M I R.

Nie, nie zrozumiałeś mojej myśli, ja o so-
bie mówię.

L U D O M I Ł A.

Jakto?

R A D Z I M I R.

Ludomiłę to dziwi? a chciała zostać moja
żoną. Nie znając serca, serce poświęcać.

L U D O M I Ł A.

Mój ojciec...

R A D Z I M I R.

Oh! dzięki Niebu składam, że jeszcze przy-

szłość twoja w moich rękach, mogę nią władać, jestem jej panem.

LUDOMIŁA. (*szczerze i z szlachetnością*)

Radzimirze, do ciebie należę, twoją jestem.

R A D Z I M I R.

Tak podpisała ręką, wtenczas kiedy serce, ze wstrętem może...

LUDOMIŁA. (*tkliwie*)

Oh!

RADZIMIR. (*pocieszony*)

A więc posłuszeństwem wiedzione oddawało się smutnemu przeznaczeniu.

WAWRZYNIEC. (*uradowany*)

Panie Radzimirze, czy ja mam iść po naszego Pana?

R A D Z I M I R.

I owszem.

W A W R Z Y N I E C.

Ale bo... czy? (*zapytując go z pewnością czy zezwoli*)

R A D Z I M I R.

Zostaw nas, proszę cię. (*Wawrzyniec odchodzi*).

C Z E S Ł A W.

Nie ma nikogo, a więc wyznaję ci...

R A D Z I M I R.

Wiem wszystko, słyszałem, (*dobywa inter-*

cyzę i rozdziera ją) i oto moja odpowiedź! Ludomiło, w zamian miłości obdarz mię twoim szacunkiem, a pozyskam 'najśłodszą nagrodę moich cierpień.

L U D O M I Ł A.

Ah! jakże ci wyrazić moją wdzięczność....
te łzy...

R A D Z I M I R.

Są perłami szczęścia, które sama myśl związku serca wycisnęła.

C Z E S Ł A W.

Czyliż ja zasłużyłem na taką ofiarę?

RADZIMIR. (*z wyrzutem przyjaźni*)

Nie, nie zasłużyłeś, boś zamilczał przedemną, przed przyjacielem. (*idzie ku sali*)

SCENA XVII.

WAWRZYNIEC, RADOGGST, RADZIMIR, CZESŁAW I LUDOMIŁA.

RADOGGST. (*do Radzimira*)

Cóż to ma znaczyć, kiedy cię chcę przedstawić moim przyjaciołom...

LUDOMIŁA. (*do Czesława, z obawą*)

Ah! może mój ojciec!...

RADZIMIR. (*wolno*)

Ja mniemałem, że oboje szczęśliwi, radośni, powinniśmy się ukazać zebranej życzliwych drużynie.

R A D O G O S T.

Bardzo słuszna uwaga, ale cóż was wstrzymuje? to niezawodnie moją Ludomiłą...

L U D O M I Ł A.

Mój ojcie!...

R A D O G O S T.

Byłem pewny, trochę się wstydzimy... nie dawno z pensji, i już wkrótce mężatka; dla szczęścia nigdy nie jest zawcześnie.

R A D Z I M I R.

Prawdę pan mówisz, do szczęścia nigdy nie jest zawcześnie: (*z znaczeniem do Radogosta*) ale jeżeli omyleni w nadziei, złudzeni pozorom, uważając posłuszeństwo za miłość, chcemy z najlepszego serca uczynić ofiarę; wtedy wyznaj pan sam, jaka czeka przyszłość i jaką odpowiedzialność przybieramy na siebie.

R A D O G O S T.

Cóż to ma znaczyć?

R A D Z I M I R.

Panie, nie mogę być mężem twojej córki, miłość dla ciebie, wszelkie poświęcenie kaza-

ła jej uważać za powinność; a ponieważ powiedziałaś, że związek ze mną, byłby ci przyjemnym, twoje zadowolenie było dla niej skazówką, oddała mi rękę.... lecz jej serce było innego własnością.

R A D O G O S T.

Co słyszę? Ludomiło, mogłoby to być!..

LUDOMIŁA. *(rzukając się do nóg ojca)*

Ojczy! przebacz!

R A D O G O S T.

Ja mam ci przebaczyć, *(podnosi ją)* ja, kiedy ty dla mnie tłumilaś najdroższe uczucia serca....

W A W R Z Y N I E C.

Ah! przecież ja mówiłem, tu coś jest, tu coś jest, i było.

R A D O G O S T.

I któż pozyskał jej miłość?

R A D Z I M I R.

Któżby inny, jeżeli nie Czesław; daruj mi pan, ale jeszcze ci nie powróciłem władzy danej mi nad Ludomiłą, i jeżeli zezwolisz, Radzimir oddaje swoją narzeczoną Czesławowi, *(czyni co mówi)* gdzie jest serce, niech i ręka do związku należy.

R A D O G O S T.

Ten wyrok, czyni mię najszczęśliwszym, chciałem widzieć Czesława mężem Ludomiły, ale nie chciałem nigdy narzucać jej wyboru; i gdyby nie ty Radzimirze, zatruliem całą przyszłość dziecięcia, myśląc, że je uszczęśliwiam.

W A W R Z Y N I E C.

Otóż nowy dowód, że my starzy, często-kroć nie wiemy sami co robimy, ale kiedy kto co chce zobaczyć...

LUDOMIŁA I CZESŁAW.

Kochany Wawrzyńcze!

R A D Z I M I R.

Tak, jemu cała należy się chluba, on pierwszy poznał wasze skłonności, on wskazał mi moją powinność, i choćbym miał cierpieć wiecznie, ta myśl pocieszać mię będzie, że mojem cierpieniem zyskałem sobie przyjaźń dwóch serc uszczęśliwionych przezemnie.

K O N I E C.

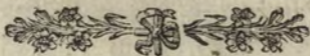
**MAŻ
PO ŚMIERCI.**

**K O M E D J A
W J E D N Y M A K C I E,**

z francuzkiego

P. Planard

P R Z E Ł O Ż O N A.



GRANA PIERWSZY RAZ

W NOWYM

TEATRZE ROZMAITOŚCI

dnia 4 Sierpnia 1834 roku.

O S O B Y.

PAN DE VERTEUIL,	JP.	<i>Szymanowski.</i>
ZOFJA, jego siostrzenica, młoda wdowa,	JPa.	<i>Daszkiewicz.</i>
DORLIS, jego siostrzeniec, kochanek Zofji,	JP.	<i>Gizewski.</i>
SAINT-FIRMIN, młody ofi- cer, przyrzeczony Zofji,	JP.	<i>Jasiński.</i>
LAFLEUR, służący pana de Verteuil,	JP.	<i>Swiergocki.</i>
SEBASTJAN, ogrodnik,	JP.	<i>Damse.</i>

Scena w zamku pana de Verteuil, o dwie
mile od Paryża.

MAŻ PO ŚMIERCI.

(Scena wystawia ogród, w głębi sztachety, po jednej stronie mieszkanie ogrodnika.)

SCENA I.

P. DE VERTEUIL, ZOFJA.

Z O F J A.

Drogi stryju! błagam cię, zerwij to małżeństwo.

V E R T E U I L.

Co za zmartwienie! czyliżes sama nie dała twojego zezwolenia w jednymże ze mną czasie?

Z O F J A.

Ale jeszcze wtenczas mój kuzyn nie powrócił z podróży, nie znałam go, a miłość...

V E R T E U I L. (z żywością)

Miłość, miłość... Ja ci mówię rozsądnie i powinnaś pochwalić moje zdanie. Czyliż nie znasz wszystkich zmartwień, których się stał przyczyną ten przeklęty proces? A kiedy mój przeciwnik pisze do mnie z Bretańji, że zgodzi

się ze mną, jeżeli twoją rękę oddam jego synowi, ty nie chcesz dopełnić tego warunku. Ucieszony jak najmocniej, chcąc niezłomnym to przedstawienie uczynić, wspominam o zakładzie 6000 franków, przyjmują go, ty podzielasz moją radość. Młody St. Firmin opuszcza swój regiment, ma przybyć niezwłocznie na zaślubiny, wszystko idzie jak najlepiej; a tu jakby na złość, przybywa mój siostrzeniec, zawraca ci głowę, i psuje układ czyniący mię najszcześniejszym z ludzi.

Z O F J A.

Czyliż łącząc twoją Zofię z Dorlisem, szczęśliwym nie będziesz?

V E R T E U I L.

No, ja tego nie mówię, ależ proces, zakład... A potem jesteś ty pewną że go kochasz? twoja lekkomyślność...

Z O F J A.

Ah mój stryju!...

V E R T E U I L.

Ale bo uprzedzoną jesteś przeciw temu St. Firmin, nie znasz go, mówią, że przyjemny; umiejący się podobać; a co większa jest bogactwem, i kiedyś wdzięczną mi będziesz za to, że

cię z nim połączę. Zdaj się w tém na moje przywiązanie i doświadczenie, i proszę cię odtąd oszczędź sobie bezużytecznych błagań.

SCENA II.

ZOFJA, później DORLIS.

ZOFJA. (*sama*)

Mamże zawrzeć związek którego serce nie potwierdza, mamże usłuchać stryja mówiącego: połącz się z nim, a potem kochać go będziesz? O nie, Dorlis, lubo mię płochą nazywasz, nie zawiedziesz się na mojem sercu.

DORLIS. (*wchodząc*)

Cóż tedy, droga Zofjo, mój wuj?...

Z O F J A.

Jest nieubłaganym.

D O R L I S.

Wszakżem ci mówił, że wczoraj napróżno do nóg się jego rzuciłem.

Z O F J A.

Trzeba nam się rozłączyć.

D O R L I S.

Rozłączyć? Tak mię więc kochasz?

Z O F J A.

No, no, zacznij na nowo twoje wyrzuty zazdrości, nazywaj mię płochą, zalotną,...

D O R L I S.

Ty, ty, panią St. Firmin! Ah na samo wspomnienie, cierpię męczarnie do niezniesienia; miłość, zazdrość i gniew pożerają mnie, i jeżeli mi nie dopomożesz zerwać to małżeństwo, życie sobie odbiorę.

Z O F J A.

Otóż znowu szaleństwo! Zawsze mu ułedz muszę; Dorlis, mój drogi, uspokój się, wiesz ile cię kocham; ale niestety! cóż ja uczynić mogę?

D O R L I S.

Dopomóżdź mi, przeszkodzić przybyciu St. Firmin.

Z O F J A.

Ale jak?

D O R L I S.

Rzecz jest na dobrej drodze, już wszystko ułożone.

Z O F J A.

I nie uprzedziłeś mię o tem?

D O R L I S.

Obawiałem się, abys mi się nie sprzeciwiła.

Z O F J A.

Ale wytłomacz mi przecię, umieram z niecierpliwości.

D O R L I S.

Wszystko to jest wynalazkiem Lafleura.

Z O F J A.

Kamerdynera, powiernika, pełnomocnika
mojego wuja.

D O R L I S.

Tak jest, posłuchaj mię. Wiemy, że twój
ojciec osiadłszy w Ameryce, wydał cię bar-
dzo młodą za pana Darmincourt, który wkrót-
ce po ożenieniu się z tobą, utracił życie pod-
czas burzy morskiej, strwoniwszy wprzód twój
majątek, stawszy się sprawcą twojego nie-
szczęścia, i zgonu twojego ojca.

Z O F J A.

Tak jest, i w tym właśnie czasie mój wuj
przywołał mię do Francji, abym dzielila z nim
jego dostatki.

D O R L I S.

Darmincourt nigdy nie był w Europie,
i nikt go tu nie znał..

Z O F J A.

To prawda.

D O R L I S.

A więc po dokładnym roztrząśnieniu rze-
czy z Lafleurem, aby zerwać twoje zamęzcie
z panem St. Firmin wskrzesiliśmy p. Darmincour.

Z O F J A.

Co za szaleństwo!

DORLIS. (*wskazując Lafleura*)

Ah, otoż duch nadchodzi który go z mieszkania śmierci przywołał.

SCENA III.

CIŻ I LAFLEUR.

L A F L E U R.

Tak pani, ja to jestem którego nekromancja przywiodła męża pani z tych miejsc niepowrotnych.

Z O F J A.

Co za występek! oszukiwać mojego wuja! bez mojego zezwolenia!

L A F L E U R.

A co większa wskrzeszać męża, bez zezwolenia żony! lecz niech się dzieje co chce, aby dopomódz dwóm kochającym się osobom, będę szukał środków aż na tamtym świecie. Nie obawiaj się pani niczego, mój podstęp jest przecudowny. Oczekują pana St. Firmin za dni kilka, trzeba więc było wynaleźć ważną przyczynę, aby go oddalić, a tą jest nieboszczyk mąż pani, który dzisiejszego poranku przybędzie. Sądzę, że ten ma prawo oddalenia pana pretendenta.

D O R L I S.

Na koniec moja droga Zofjo, nasze pierwsze

kroki już uczynione, a gdybyś była tyle okrutną, iżbyś chciała uwiadomić o tem twojego wuja...

Z O F J A.

To moja powinność.

D O R L I S.

O Nieba! zgubiłabyś mię, i nigdybym cię już nie zobaczył. Nie, ty mię nigdy nie kochałaś.

Z O F J A.

Boże! możnaż do tego stopnia ndręczać kobietę! widzę dokładnie zaufałaś mojej dobroci jakbym cię widzieć nie miała! Ale, później czy prędzej podstęp przecież wydać się musi.

L A F L E U R.

Zyskamy na czasie, zamysł połączenia zostanie zerwanym, proces się rozpocznie, a my będziemy ocaleni.

Z O F J A.

I któż ma grać rolę tego zmartwychwstałego męża?

L A F L E U R.

Oto się pani bynajmniej nie lękaj, pisałem do pewnej starej suberetki, mieszkającej w Paryżu, osoby z dowcipem, gustem, równie jak ja zacnej: ta nam przyszle to, czego porzeba.

Wszystko pójdzie dobrze, wuj pani przyjmie wskrzeszonego Darmincourt, napisze dop. St. Firmin. cofając dane słowo, i wkrótce, pod jakim bądź pozorem, uwolniemy panię od tego pożyczonego męża.

VERTEUIL. (*w kulisie*)

Lafleur!

D O R L I S.

To głos mojego wuja, nie chcę aby nas widział razem.

Z O F J A.

Mogłażem się spodziewać dzisiejszego poranku, że w wieczor wdową być przestanę? Ale idźmy, nie mogłabym teraz znieść jego obecności.

LAFLEUR. (*do Dorlis*)

Idź pan za nią, i staraj się nakłonić, aby nie wyjawiała naszej tajemnicy.

D O R L I S.

Bądź spokojnym, na krok jej nie odstąpię.

SCENA IV.

VERTEUIL, LAFLEUR.

VERTEUIL. (*wołając*)

Lafleur!

LAFLEUR. (*niby przybiegając*)

Jestem panie.

VERTEUIL.

Sluchaj, miałem cię zawsze za człowieka rozsądnego, i dowcipnego; często dobre dawałeś mi rady, dla tego nie chcę mieć żadnej tajemnicy przed tobą.

LAFLEUR.

Zaszczyt to dla mnie, ale pan wie, że moja gorliwość, moje zupełne oddanie się...

VERTEUIL.

Posłuchaj listu który tylko co odebrałem.

LAFLEUR. (*n. s.*)

Jam go dyktował.

VERTEUIL. (*czytając*)

»Bordeaux., 4 Maja. Panie, zaledwie przybyłem do tego miasta, dowiaduję się od dawnego korespondenta mojego teścia, że chcesz wydać za mąż moją żonę»...

LAFLEUR.

Wydać za mąż moją żonę!

VERTEUIL.

»Mniemałeś że utonął, lecz korsarze Algierscy mię wyratowali. Później, obszernie mu opowiem to zdarzenie. Dziś donoszę mu tyl-

ko, że jutro wyjeżdżam, i przybędę do pana 12go. Nie uwiadamiaj o tem mojej żony, chcę jej sprawić przyjemne lub też przeciwniezdziwienie. Racz dochować mojej tajemnicy, a nadewszystko oddalić ubiegającego się o jej rękę, gdyż co do tego ja mam pierwszeństwo. Zostaję z szacunkiem i t. d. Darmincourt. Cóż myślisz o tym liście?

LAFLEUR. (*uwważając go*)

Ja panie? Nie wierzę mu wcale, chce pan wiedzieć dla czego? oto pan Dorlis kocha pańską siostrzenicę...

VERTREUIL.

Do kata, wiem o tem, i zdaje mi się, że całe zdarzenie jest tylko podstępem.

LAFLEUR.

To właśnie chciałem powiedzieć, ale jak pan przenikliwy...

VERTREUIL.

Widzisz?... lecz nakoniec dziś mamy 12go, i dziś ten przekłety człowiek, ktokolwiek on jest, ma tu przybyć; nie wiem jak go mam przyjąć; bo naradzić gdyby on szczególniejszym trafem był w istocie Darmincourt.

L A F L E U R.

Ale gdzie tam, powiadam panu jakiś intrygant, łotr.

V E R T E U I L.

Nie każę go więc wpuścić.

L A F L E U R.

I owszem, niech przyjdzie, niech przyjdzie! Czyż nie ja towarzyszyłem siostrzenicy pańskiej z Ameryki? nie byłem w jej usługach od czasu zamęzcia? pamiętam więc dobrze twarz nieboszczyka jej męża.

V E R T E U I L.

A że mi też to na myśl nie przyszło! ale musisz także i pismo jego pamiętać.

L A F L E U R.

Nie, tego nie pamiętam. ale zapytaj pan swojej siostrzenicy?..

V E R T E U I L.

Głupcze, jeżeli to podstęp, ona nie powie, nie....

L A F L E U R.

Posłuchaj mię pan, umówmy się: będę obecny przedstawieniu się naszego panicza; za pierwszym wejściem poznam czy to udanie, czyli też prawda; w pierwszym wypadku, postąpię ku niemu z miną przez pół

wyrażającą szacunek, przez pół żartobliwość, i powiem: Panie, raczyszli sobie przypomnieć dawnego sługę, który od niego tyle przyjaznych napomnień odebrał? Wtenczas poznasz pan jak się będzie rumienił, mieszał, co nam wiele sprawi zabawy. Jeżeli zaś cudem jakim, ujrzę prawdziwego Darmincourt, usłyszysz mię pan wykrzykującego głosem prawdy. O Nieba! być że to może! tyżes to mój drogi panie, ciebież to znowu oglądam? Boże!.. zadziwienie! radość!.. nie będę wiedział co mówić, a lzy głos mój przytłumią...: Teraz panie, wiesz o wszystkim, i będziesz mógł postępować stosownie.

V E R T E U I L.

Przewybornie, możnaby powiedzieć żeś grywał komedje.

L A F L E U R.

Panie dobrodzieju! któż ich nie grywa na świecie!

V E R T E U I L.

Kontent jestem, żem się cię poradził. Chcę sobie małą z tego uczynić zabawkę i

zaraz oświadczę Zofji, aby się przygotowała do przyjęcia swego drogiego małżonka.

LAFLEUR. (*śmiejąc się*)

Tak, tak, panie, zabawmy się! O jak mię to cieszy, że pan tak łagodnie rzecz tę uważa.

VERTEUIL. (*śmiejąc się*)

Uczynię z siebie łatwowiernego człowieka.
(*wychodzi*)

SCENA V.

LAFLEUR. (*sam*)

Niechaj kto co chce mówi, ale intryga rządzi światem; w tej sztuce wszystko mi dopomaga, i moj worek coraz bardziej się napęlnia; wkrótce więc, mam nadzieję, zostanę mieszczaninem Paryża, i dokończę mojego zawodu, zostając uczciwym człowiekiem, jeżeli będę mógł. Potem ożenię się, to samo z siebie się rozumie, i chcąc zostać szczęśliwym a razem modnym mężem, będę oczy na wszystko zamykał.

SCENA VI.

LAFLEUR, SEBASTJAN.

S E B A S T J A N.

Sluga pański, panie Lafleur. Pan coś bardzo wesoły.

L A F L E U R.

Dzień dobry, poczciwy głuptasie.

S E B A S T J A N.

Ah to niegrzecznie. Czy dla tego że masz nie źle zaopatrzone worek, jesteś taki....

L A F L E U R.

Cymbał.

S E B A S T J A N.

Tak, właśnie chciałem powiedzieć.

L A F L E U R.

Hm! zdaje się, że ten bałwan zapomina....

S E B A S T J A N.

Nie, ja się bynajmniej nie zapominam. Wiem bardzo dobrze kogo mam szanować. Kamerdyner, daj go katu! myśli że jest ni-
by coś większego od ogrodnika; ale i ogrodnik ma takie uszy jak kamerdyner, a wczoraj pod wieczór, po za grabiną, słyszałem...

L A F L E U R. (*n. s.*)

A do kroćset!... (*głośno*) Uszy, grabina, cóż to znaczy?

S E B A S T J A N.

Nic, nic, ale my wiemy dobrze co wiemy.

L A F L E U R.

No! cóż wy wiecie, co wiecie?

S E B A S T J A N.

Oto! że znam wszystkie wykręty twoje i pana Dorlis. Mąż którego wyciągnięto z wody, wdowa, co nią być przestaje... A co dośyć? wystarczy...

L A F L E U R. (*n. s.*)

Ah przekłęcie! (*głośno*) Niech mię kaci wezmą, jeżeli co rozumiem.

S E B A S T J A N.

Nie? no to nasz pan lepiej mię zrozumie, idę go właśnie o tём uwiadomić.

L A F L E U R.

Czekaj hultaju, albo cię ubiję.

S E B A S T J A N.

Zwolna! zwolna! łajać możesz ile ci się podoba, ale bardzo proszę bez poruszeń; jego powaga nie sięga tak daleko.

L A F L E U R.

Dla czegoż chcesz zdradzić naszą tajemnicę?

S E B A S T J A N.

Ponieważ jestem zawsze uczciwym człowiekiem... to się ma rozumieć, że nie widzę korzyści zostać nieuczciwym.

L A F L E U R.

Otoż to tak mówić trzeba. To jest szczerść, to jest okrągłość w interesach. Bądź spokojny, mierz, i dopomagaj naszym ukła-

dom, a pan Dorlis wynagrodzi ci wspaniale.

S E B A S T J A N.

Ah õn mi zapłaci? Ale tobie już zapłacił. A znasz zapewne to przysłowie: »lepszy wróbel w ręku, niż gołąb na sęku.«

L A F L E U R.

On mi zapłacił? słowo honoru!...

S E B A S T J A N.

Cyt, nie zaklinaj się, gdyż pan Dorlis powiedział ci wczoraj: na, oto masz piętnaście lujdorów... A więc, czybyśmy nie mogli zrobić pomiędzy sobą jakiego porachunku?

L A F L E U R.

Jakto! łotrze tybyś chciał?...

S E B A S T J A N.

Nie, ja nie nie chcę. Ja idę do pana. Ja bynajmniej nie jestem chciwy zysków. -

L A F L E U R.

Nie jesteś chciwym zysków, zbrodniu, gdy mi sztylet do gardła przykładasz.

S E B A S T J A N.

Kto zaś, ja? jestem łagodny jak baranek.

L A F L E U R. (n. s.)

Oh jakżebym go palnął!.. (głośno) No poganińcie, łakomco, serce nikczemne i sprzedajne,

powiedz, wieleż chcesz z tych 15 lujdorów?

S E B A S T J A N.

Jeżeli się chcesz targować siedm; albo siedm i pół bez targu.

L A F L E U R.

Sebastjanie, łotrze, tyś bez sumienia.

S E B A S T J A N.

O! jeżeli idzie o sumienie, to pójdę do naszego pana.

L A F L E U R.

Oszust niższy, śmie żądać siedm lujdorów...

S E B A S T J A N.

Siedm i pół, od starszego.

L A F L E U R.

Filucie... nicdobrego... żebraku... dawaj rękę.

S E B A S T J A N.

Chętnie, lecz bądź grzecznym, jeszcze... Ale cóż to? twoja ręka drży?..

L A F L E U R,

Eh!.. dwa, cztery, sześć.

S E B A S T J A N.

Jeszcze nie wszystko.

L A F L E U R. (z gniewem)

Masz, masz, duszo sprzedajna.

S E B A S T J A N.

Jeszcze dwadzieścia franków.

L A F L E U R.

Nie mam przy sobie, idź do diabła.

S E B A S T J A N.

No, będziesz mi je winien. (*zdejmując kapelusz*) A teraz, panie Lafleur, jesteś moim panem, władcą, mów, rozkazuj co mam czynić?..

LAFLEUR, (*poprawiając swój kapelusz*)

Ah! wiedziałem ja dobrze, nędzny prostaku, że cię przymuszę do uszanowania. Uwważaj! najdalej za dwie godziny oczekuję męża dla naszej pani, któremu kazałem przybydź z Paryża, jednak, mógłby się pośpieszyć, przeto stój na straży przy sztachetach. Jeżeli przybędzie, ukryj go w twojem mieszkaniu, i jak najprędzej śpiesz mię uwiadomić. Nim się w zamku pokaże, muszę z nim pomówić. Poznasz go łatwo... Kapelusz stósowany.... bo pan Darmincourt był oficerem morskim. Nadewszystko pilność, uwaga i ściśle dopełnianie rozkazów, a to pod karą najsurowszą. (*odchodzi.*)

SCENA VII.

SEBASTJAN. (*sam*)

Tak, tak; udawaj wielkiego pana. Będę zdejmował przed tobą kapelusz ile tylko razy zechcesz; i słusznie, bo mi dobrze zapłaciłeś. (*patrzac na pieniądze*) Daj go katu! piękny poranek. Będę śniadał z apetytem. Z okna mojej izby natychmiast zobaczę naszego gościa. Jednakowoż mam jakiś skrupuł dopomagania temu oszukaństwu. Ale blask tych lujdorów! Ah mój Boże, mój Boże, jak trudno być uczciwym człowiekiem! (*wchodzi do swojego mieszkania.*)

SCENA VIII.

St. FIRMIN, potem SEBASTJAN.

FIRMIN.

Jestem tedy w ogrodzie należącym do pana de Verteuil. Z takim stanąłem tu pośpiechem, że zdziwieni będą mojem przybyciem. Ledwie za kilka dni byłem spodziewany. Mój ojciec, szczególniejszym sposobem każe mi proces zakończyć, z jego woli opuszczam regiment i mam się połączyć z osobą, której nawet poznać dobrze nie miałem czasu. Jeżeli jej

postać, rozum, nadewszystko sposób myślenia nie podobają mi się; bo co się reszty tycze, mógłbym przez rok cały bywać u niej, a nie odkryłbym ani jednego błędu w mojej przyszłej. W terażniejszym wieku, ta płeć nadobna jest tak trudną do odgadnienia, że można by śmiało przytoczyć tę śpiewkę:

Małżeństwo jest to loterja,
Szczęsny, co trafi numera...

SEBASTJAN. (*we drzwiach swojego mieszkania*)

Aha, to pewno jegomość na którego oczekujemy. Tak jest, kapelusz oficerski, to on.

FIRMIN,

No, pójdźmy tedy przedstawić się panu de Verteuil.

SEBASTJAN.

St, st, przyjacielu, gdzie idziesz?

FIRMIN.

Przyjacielu!.. familjarny jegomość. Szukam pana de Verteuil.

SEBASTJAN.

Ciszej.

FIRMIN.

Dla czegoż to?

SEBASTJAN.

Nie trzeba jeszcze wchodzić. Nie obawiaj

się niczego. Jestem przypuszczony do tajemnicy. Lafleur postawił mnie tu na straży, ażeby cię zatrzymać, dopóki się z tobą wprzód nie rozmówił.

F I R M I N.

I cóż on mi chce powiedzieć, ten Lafleur?

S E B A S T J A N.

Chce ci zapewne dać objaśnienia; nauczyć jak się masz obchodzić z panem Verteuil, z młodą damą i jej kochankiem.

F I R M I N.

Ah!.. ah pani ma kochanka?

S E B A S T J A N.

Tak jest, i dla tego właśnie przywołano cię do odegrania roli nieboszczyka męża.

F I R M I N.

Co mówisz?.. niegodziwcze!

S E B A S T J A N.

Porzuć no ten wyraz, niegodziwcze!.. niegodziwcze!.. A czemże ty jesteś?

F I R M I N. (z gniewem)

Jestem St. Firmin.

S E B A S T J A N.

Ah mój Boże!

F I R M I N.

W tym jest jakaś tajemnica.

S E B A S T J A N.

Pan St. Firmin, którego mój pan oczekuje

z Bretanji, który ma pojąć za żonę panią Darmincourt?

F I R M I N.

Ten sam.

SEBASTJAN. (*n. s.*)

Ślicznie się popisałem za wzięte siedm ludorów.

F I R M I N.

Có tam' mruczysz?

SEBASTJAN. (*zdejmując kapelusz*)

Przebacz panie; gdy się nie zna osób.... Tak mi dobrze zapłacono aby w tym dopomagać... My biedni ludzie, przymuszeni jesteśmy.... Pan rozumiesz.... w głowie mi się miesza.

F I R M I N.

Rozumiem. No, cóż się tu dzieje? Jeżeli mi wszystko opowiesz, te pieniądze będą twoje.

S E B A S T J A N.

Ah mój Boże! dzisiaj widzę samo tylko złoto, to mię zakamieniałym czyni.

F I R M I N.

Będieszże mówił?

S E B A S T J A N.

Za pozwoleniem pańskim wiele tam jest w tym woreczku?

F I R M I N.

Dwanaście lujdorów.

SEBASTJAN. (z żywością)

Dwanaście, dwa razy tyle, co mi dał Lafleur, a zatem wszystko panu opowiem. Lafleur powiedział: trzeba służyć tym którzy nam płacą.

F I R M I N.

No?...

S E B A S T J A N.

Oto, pani nie kocha pana. (*patrzac na pieniądze*) a jednakże pan jesteś bardzo kochania godny.

F I R M I N.

I mam rywala?

S E B A S T J A N.

Tak jest panie, młodego kuzyna, pana Dorlis; i dla tego, ażeby nasz pan napisał do ojca pańskiego, z wstrzymaniem jego przybycia, puszczono wieść: że nieboszczyk mąż pani Darmincourt, nie jest nieboszczykiem, i na dowód tego, kazano z Paryża przybyć jakiemuś oszustowi, który miał udawać nieboszczyka żyjącego... Ale słyszę kogós, ukryjsię pan w pobliżkiej gęstwinie, opowiem mu wszystko od a aż do z; przyjdę za chwilę.

FIRMIN. (*wychodząc*)

No, śpiesz się. Ah jejność ma już gaszka!
Zobaczmy!...

SCENA IX.

P. VERTEUIL, DORLIS, ZOFJA, SEBASTJAN.

VERTEUIL.

Sebastjanie, kazałem aby powóz był w po-
gotowiu, zobacz czy już zajęchał.

SEBASTJAN.

Natychmiast. (*cicho, wychodząc*) Dobrze, że
Lafleura nie ma z nimi.

VERTEUIL. (*zartując*)

Co za szczególny wypadek! wiesz moja Zo-
fjo, że twoje małżeństwo może być myśladę
najpiękniejszego romansu; drogi małżonek któ-
rego się rgonjuż oplakało, ukazujący się zno-
wu przy życiu! O jak mi przykro, że się opó-
źnia to tkliwe poznanie! Powinnismy się udać
na przeciw niego.

ZOFJA. (*zmiészana*)

Istotnie. (*do Dorlisa*) Ab tak jestem pomie-
szana!

DORLIS.

Przez litość, nie wydawaj się.

VERTEUIL. (*n. s.*)

Hm, mówią do siebie zcicha, dają sobie znaki. (*głośno*) Oh mój Dorlis, już te rozmowy osobne ustać powinny, przechadzki samotne, rendez-vous w ogrodzie, wszystko to już zerwane. Zofja przestała być wdową, czyż więc twoją powinność.

D O R L I S.

Tak podobno trzeba będzie uczynić, ale co mnie pociesza, że i St. Firmin nie dalej odemnie postąpi.

V E R T E U I L.

A dobrze żeś mi przypomniał; jak tylko uściskamy Darmincoura, napiszę do niego cofając dane słowo; ależ mój powóz... (*cicho, oddalając się*) biedne dzieci, sądzą, że mię oszukać będą mogły.

D O R L I S. (*do Zofji*)

Widzisz, że się spełniają wszystkie nasze życzenia.

Z O F J A. (*do Dorlisa*)

Ale spodziewam się, że dziś wieczór oddalisz tego człowieka na którego oczekujesz.

D O R L I S. (*do Zofji*)

Jak tylko twój stryj list napisze, natychmiast go oddalę.

SCENA X.

CIŻ SAMI, SEBASTJAN.

SEBASTJAN. (*wbiegając*)

Panie, panie, duch!

VERTEUIL.

Duch?

SEBASTJAN.

Tak jest, mąż pani! Mówi, że nie jest nieboszczykiem, że nie umarł.

VERTEUIL.

Jest więc?

SEBASTJAN.

Natychmiast tu przyjdzie.

DORLIS. (*do Zofji*)

Otóż masz, zapłacony mąż.

ZOFJA. (*do Dorlisa*)

Cóż mam czynić?

VERTEUIL.

Ah do kata, Lafleur miał tu być. (*do Sebastjana*) Idź poszukaj mi Lafleura.

SEBASTJAN.

Biegnę.

SCENA XI.

CIŻ, prócz SEBASTJANA, St. FIRMIN.

FIRMIN.

Co za radość! o dniu szczęśliwy! otóż ona!
Oh moja najdroższa Zofjo!

DORLIS. (*cicho do Zofji.*)
Mówże do niego.

Z O F J A.

Jakto! więc ty?.. to ty?.. panie!

F I R M I N.

Sprawiedliwe Nieba! co za oziębłość!

DORLIS. (*do Zofji*)

Zdradzisz nas!

Z O F J A.

Zdziwienie, radość...

F I R M I N.

Lube pomieszanie! moja najdroższa Zofjo!
pozwól abym w tej słodkiej chwili... (*ści-
ska ją*)

Z O F J A. (*cicho*)

Za mocno mię przyciskasz.

DORLIS. (*n. s.*)

Ten hultaj szczęśliwszy odemnie.

V E R T E U I L. (*n. s.*)

Jakie smutne poznanie! Moznaby powie-
dzieć że to mąż istotny.

F I R M I N.

Ale twój stryj szanowny...

V E R T E U I L.

Ja nim jestem.

F I R M I N.

Ileż mu winienem wdzięczności za opiekę,
nad młodością mojej najukochańszej żony.

VERTEUIL. (*z cicha*)

Jak pewny siebie, lecz Lafleur przyjdzie
niebawem. (*głośno*) Powiedz mi pan, jakim
sposobem po okropnej burzy?..

SCENA XII.

CIŻ, LAFLEUR, SEBASTJAN.

LAFLEUR. (*do Verteuil*)

Panie, przychodzę na rozkaz... (*uwa-
żając Firmina*) O Nieba! być że to może!
tyżes to mój drogi panie! ciebież to znowu
oglądam? Boże!.. co za szczęście!

F I R M I N.

Co widzę, Lafleur? coż tu robi ten łotr?

VERTEUIL. (*do Lafleura*)

Poznał cię.

L A F L E U R.

Oh mój Boże, tak panie, to on.

V E R T E U I L.

Być że to może?

L A F L E U R.

Nie mogę przyjść do siebie.

F I R M I N. (*do Verteuil*)

Wspominałeś pan o nieszczęśliwym moim

przypadku na morzu, dowiesz się o wszystkich szczegółach, ale przebacz mi, że w tej chwili zajmuję się tylko szczęściem oglądania znowu mojej Zofji.

ZOFJA. (*do Dorlisa.*)

Mojej Zofji. Jak familjarny.

D O R L I S.

Prawda, za nadto nawet.

F I R M I N.

W czasie długiej mojej niewoli, tylko nadzieja ujrzenia kiedyś lubej małżonki mię' pocieszała, ona wszystkich myśli była przedmiotem, dzień i noc wyobraźnia kreśliła mi to spojrzenie żywe i przenikające, ten uśmiech czarowny, tę postać zachwycającą, nakoniec wszystkie rysy i cnoty tej ubóstwianej kobiety, której Niebo uczyniło mię' posiadaczem.

ZOFJA. (*do Dorlisa*)

Jest dosyć przyjemny.

D O R L I S.

Gra swoją rolę.

LAFLEUR. (*do Dorlisa*)

Mówiłem panu, że moja suberetka z Paryża, przysła nam męża najlepszego tonu.

FIRMIN. (*do P. Vertheuil*)

Pan, może masz niejakie mniej korzystne

względem mnie uprzedzenia. Moja pierwsza młodość była burzliwą, ale długie cierpienia odmieniły mię zupełnie.

V E R T E U I L.

To prawda, że nie wiele słyszałem na jego pochwałę; ale znam, co to jest młodość, wiem że potrzebuje pobłażania, a jeżeli czas poprawił go...

F I R M I N.

Zobaczysz pan, przekonasz się jak teraz rozsądnym będę. Oświadczam, że Darmincourt terazniojszy, zupełnie jest innym od dawniejszego.

V E R T E U I L.

Tém lepiej; gdyż na moje słowo, bez pochlebstwa, jego sposób obejścia, zaczyna mi się bardzo podobać.

F I R M I N.

Jeżeli chcesz panie, będziemy tu wszyscy pędzić życie wpołączeniu najroskoszniejszym. Porzucam podróże, w tej chwili kocham więcej niż kiedykolwiek moją żonę; i ani na jedną minutę jój nie odstąpię.

Z O F J A.

To przywiązanie jest bardzo pochlebne.
(*cicho do Dorlisa*) Ani na jedną minutę, słyszysz?

D O R L I S.

Zobaczemy.

L A F L E U R.

Piękna to rzecz miłość małżeńska! cały jestem rozrzewniony.

S E B A S T J A N.

Co za dobre serce!

F I R M I N.

A potem te okolice są tak przyjemne.

V E R T E U I L. (*do Dorlisa*)

Ah widzisz, mój siostrzeńcze.

F I R M I N. (*witając go*)

Ah to siostrzeniec pana dobrodzieja?

V E R T E U I L.

Tak jest, gani mi codziennie moje upodobanie we wsi.

F I R M I N.

Jednakże przy swojej kuzynce....

Z O F J A. (*do Firmina*)

Milcz że już mój panie.

V E R T E U I L.

Ale ty jesteś roztropniejszy, pokażę ci więc

moje plany gospodarstwa wiejskiego. Czy lubisz ogrody angielskie?

FIRMIN.

Bardzo.

VERTEUIL.

A polowanie?

FIRMIN.

Do szaleństwa.

VERTEUIL.

Konie?

FIRMIN.

Warjuję za niemi.

VERTEUIL.

Przechadzki?

FIRMIN.

Nie zmordowany w nich jestem.

VERTEUIL.

Ma zupełnie mój gust.

FIRMIN.

Nawet i do pikiety, co wieczór...

VERTEUIL.

Co, i w pikietę grasz? oh już nie mogę wytrzymać... uściskaj mię kochany Darmincourt.

SEBASTJAN. (n. s.)

Dobrzem go wyuczył.

DORLIS. (n. s.)

Gotów się podobać stryjowi; ale żeby tylko stryjowi.

SEBASTJAN. (*do Lafleura*)

Wiesz że dobrze zmyśla., wyćwiczony w tej sztuce.

L A F L E U R.

Niech mię kaci porwą, jabym lepiej nie potrafił.

V E R T E U I L.

Wyborny człowiek.

Z O F J A. (*do Dorlisa*)

Powiadam ci, że mi jak najtkliwiej ściska rękę.

D O R L I S.

Cofnij ją.

Z O F J A.

Ale, moglibyśmy się zdradzić.

D O R L I S.

To mi się już zaczyna nie podobać.

V E R T E U I L. (*wesoto*)

Ogrody, polowanie, przechadzki, mój przyjacielu, już się nigdy nie rozłączymy. Teraz pójdźmy do zamku.

F I R M I N.

Pewny jestem, że musi być piękny. Lecz ja naprzód chcę widzieć pokój mojej Zofji.

D O R L I S. (*n. s.*);

A już nie cierpię tego człowieka.

LAFLEUR. (*do Dorlisa*)

Co pan chce, ten człowiek wszystkim podobać się może.

DORLIS. (*n. s.*)

Bodajesz przepadł. (*do Zofji*) Cofnij rękę

Z O F J A.

Kiedy ją mocno trzyma.

VERTEUIL. (*do Firmina*)

Pewny jestem, że ci się podobają moje szpalery, moje...

F I R M I N.

W tych miejscach wszystko będzie dla mnie miłym, bo jestem blisko ukochanego przedmiotu.

ZOFJA. (*do Dorlisa*)

Przypomnijże stryjowi, niech pisze do p. St. Firmin.

F I R M I N.

Tak, w tej chwili, musi pisać do p. St. Firmin, który że nie przybędzie, jestem aż nadto pewny.

V E R T E U I L.

Wesoło pędzić będziemy życie.

ZOFJA. (*n. s.*)

Chciałabym się pozbyć go jak najprędzej.

D O R L I S.

Na honor, wypędzę go i natychmiast.

L A F L E U R.

Zatrzymaj się pan jeszcze, wszystko ułatwi się jak najlepiej.

V E R T E U I L.

No, pójdźmy kochany Darmincourt, pójdź Zofjo, okażesz twojemu mężowi wszystko co tylko będzie godnem widzenia, a ja tymczasem napiszę list do pana St. Firmin.

S C E N A XIII.

SEBASTJAN. (*sam, śmiejąc się*)

Ha! ha, ha! dobrze przyjęli męża mojej fabryki! Zaanonsuj mię jak p. Darmincour, rzekł, stryj uwierzy że nim jestem, Lafleur i kochankowie wezmą mię za oczekiwanego z Paryża, a ja zabawię się z wszystkich. Dalibóg, nie mogłem ma tego odmówić. A Lafleur, który go nazywa swoim kochanym panem... Ale, jak przyjdzie do wyjaśnienia, będzie wrzeszczał okropnie... Pokażę mu moję dwanaście lujdorów, to mu zamknie gębę. Pomyślmy teraz o oddaleniu prawdziwego oszusta, który ma przybyć, tak kazał pan

St. Firmin. Już przynajmniej pewny jestem, że się nie omylę.

SCENA XIV.

St. FIRMIN, LAFLEUR, SEBASTJAN.

LAFLEUR. (*do St. Firmin*)

Korzystajmy z chwili, gdy pan de Verteuil pisze list do tego djabelskiego p. St. Firmin, i pogadajmy sobie na osobności. (*do Sebastjana*) Idź precz!

FIRMIN.

Kiedy go przypuściliś do tajemnicy...

LAFLEUR.

Przymusił mię do tego ten łotr, ale nie godzien jest być przypuszczonym do naszych skrytości.

SEBASTJAN.

Dla czego? teraz lekcję wezmę.

LAFLEUR.

Idź precz, i nie gadaj wiele.

SEBASTJAN. (*cicho*)

Dalej do bramy ogrodowej pilnować drugiego nieboszczyka.

SCENA XV.

CIŻ bez SEBASTJANA.

LAFLEUR, (*tonem protekcyjnym*)

Godzien jesteś pochwały, mój przyjacielu; bravo, bravo! dobrze się okazałeś. Bardzo naturalnie przybierasz głos i sposób postępowania szlachetny. Jesteś człowiekiem jakiego właśnie potrzebujemy; i podziękuję mojej korespondentce, że mi tak dobrze usłużyła.

FIRMIN.

Pan dobrodziej raczy mi pobrażać.

LAFLEUR.

Nie, nie, bcz pochlebstwa, masz wielkie zalety... Wszystkim tu podobałeś się... wyjąwszy młodego kochanka, który naturalnie chciałby się pozbyć ciebie jednej minuty.

FIRMIN.

Dla czegoż to?

LAFLEUR.

Znajduję cię nazbyt przyjemnym.

FIRMIN.

Nie życzę sobie być uważanym za bałwana.

LAFLEUR.

Sciskałeś bo jego lubą z takim zapałem....

FIRMIN.

Była to rokosz dla mnie....

L A F L E U R.

Patrzyłeś na nią oczyma...

F I R M I N.

Jej piękność, czyichżeby oczu nie zwrocila?

L A F L E U R.

Co chwila ściskałeś jej rękę...

F I R M I N.

Aby odnieść jakąskolwiek korzyść z mojej roli. Nie przybrałem jej przecie dla tego, aby się znudzić.

LAFLEUR. (*zażywając tabakę i podając panu Firmin*)

Patrzaj, nie źle, gracki chłopiec! No, no, rzecz jasna, masz doświadczenie. Możemy sobie podać ręce i mówić po przyjacielsku. Powiedz mi kolego, czy dawno trudnisz się?... Jak na mnie spogląda; cóż znaczy ta mina?

F I R M I N.

Twój sposób mówienia poufały...

L A F L E U R.

Zadziwia cię, pochlebia, nieprawdaż? ale jesteś tego godny, lubię zasłudze oddać sprawiedliwość.

F I R M I N.

Zbyt wiele zaszczytu panie Lafleur.

L A F L E U R.

No, no... ale powiedzże mi, czy dawno trudnisz się?...

F I R M I N.

Na honor, nie lubię intryg; ale okoliczności...

L A F L E U R.

Tak, okoliczności; igrzyskiem ich jesteśmy. Kto wie? może i ja byłem stworzony na uczciwego człowieka, a oto czem jestem...

F I R M I N.

Co się mnie tycze, moja pierwsza próba mistrzowską być godna; kiedy pierwszy wplątałem się w intrygę, przeciwnikiem moim był najdowcipniejszy najpodstępniejszy najprzebieglejszy z lokai.

L A F L E U R.

Słowem drugi ja.

F I R M I N.

Tak, tak zupełnie.

L A F L E U R.

No i cóż?

F I R M I N.

Odrwiłem go jak głupca.

L A F L E U R.

Co słyszę? i odważyłeś się porównać mnie z tym człowiekiem słabego umysłu?

F I R M I N.

Dla czegóżby nie? sądzisz więc panie La-

fleur, że tak trudno zażartować z ciebie? i że gdybym sobie chciał zadać pracę...

L A F L E U R.

Szczególniejszy ton przybierasz, mój młody kolego, nie bardzo ci przystoi jako wstępującemu dopiero w zawód. Wieszże ty co mój kochany...

FIRMIN. (*mówi przybliżając się tak do Lafleura, iż go cofać się przymusza*)

Oh wiesz ty sam mój kochany panie Lafleur, że twoje wyrażenia poufałe już mię nudzą? bez koleżeństwa jeżeli łaska. Jesteś tylko nikczemnym służalcem, bądź więc na swoim miejscu, uszanowanie bardzo proszę kapelusz z głowy. (*zrzuca mu kapelusz na ziemię*)

LAFLEUR. (*podejmując go*)

A do kroćset katów! co to ma znaczyć? uszanowanie, kapelusz z głowy. (*St. Firmin patrzy na niego*) Hm?... Ah teraz rozumiem... eh, żem ja się też nie domyślił. Jegomość gra tu rolę mojego nieboszczyka pana, jestem jego służącym, więc podobało mu się przypomnieć, mi to. Żart przedoskonały; przebacz panie...

przebacz... moje nieuszanowanie i jako żalu-
jący, hołd powinny składać.

F I R M I N.

Porzućmy żarty, jesteś głupiec i nadal nie
zapominaj się!..

L A F L E U R.

Czy ten ukłon jest dosyć niski?

F I R M I N.

Kapelusz z głowy, powtarzam.

L A F L E U R,

Czy tak panie?

F I R M I N.

Lecz bez żartów, bardzo proszę.

L A F L E U R.

Ale, mój kochany, za wiele wymagasz ode-
mnie, i ta etykieta nudzić mnie zaczyna.

F I R M I N.

Ostatni raz mówię, zaprzestań tego wyra-
zu, ty.

L A F L E U R.

Dalibóg co za ton, lepiej i prawdziwiej nikt
by nie powiedział. Ale czegoż się obawiam?
mój 'przyjacielu proszę cię, porzuć ten ton
groźny, pomówmy z sobą przyjaźnie.

F I R M I N.

Milcz! i pamiętaj na przedział pomiędzy na-
mi! Jeżeli tak jak ty, odrwijałem ojców, opie.

kunów i mężów surowych, jeżeliin oszukiwał bacznąć ciotek i starych ochmistrzyń, to dla mojej jedynie zabawy, sobie czyniłem usługę. Ale ty łotrze zapieniędzy tylko dopomagasz. Ta więc jest między nami różnica, że ty o nie³prosisz, a ja daję. (*rzuca mu sakiewkę*)

LAFLEUR. (*zdumiały*)

O Nieba! podobny argument zdumiewa mię, zamyka usta. On pieniądze rozsiewa, pieniądze ten ³probierski kamień uczciwości! (*zdejmując kapelusz*) Panie, masz mnie na twoje usługi.

F I R M I N.

Dość natęm; zachowaj w pamięci tę lekcję, a nade wszystko strzeż się żebyś ani jednego nie przebąknął słowa, względem tego co się tu stało, bo inaczej...rozumiesz mię?

L A F L E U R.

Ja panie...ja mam mówić? niech mnie kaci porwą, jeżeli wiem co to wszystko znaczy? Czekam, abyś mi Pan raczył uczynić ten honor oświadczyć kto jesteś?

F I R M I N.

Otóż to właśnie, czego wiedzieć nie będziesz.

L A F L E U R.

Ale panie....

F I R M I N.

Zostaw mię samego.

LAFLEUR. (*n. s.*)

W pięknym jestem położeniu, jak związany cały. Niech mię kaci wezmą, jeżeli wiem co mam myśleć o tym hułtaju, postępuje bowiem jak człowiek ważny. (*wychodzi*)

SCENA XVI.

St. FIRMIN, SEBASTJAN.

SEBASTJAN. (*wchodząc ostrożnie*)

Panie, zamówiony mąż z Paryża, mąż Lafleura, przyjechał, był już u bramy ogrodowej.

F I R M I N.

No, i cóż?

S E B A S T J A N.

Powiedziałem że podstęp się odkrył, a on dalej na powrót, w galop...

F I R M I N.

To dobrze, odejdz, spostrzegam nadchodzących. (*Sebastjan wychodzi*)

SCENA XV.

FIRMIN. (*n. s.*)

Jestem tedy panem pola bitwy.

ZOFJA. (*do Dorlisa*)

Powtarzam ci, że on nie jest tem, za co ty go uważasz. Płeć nasza ma daleko przenikliwszy wzrok od waszej do osądzenia tonu i sposobu obejścia się mężczyzny. Ten ma wiele dowcipu.

DORLIS.

To prawda. Trzeba będzie jednakże pozabawić się jego przyjemności, i dać mu odprawę.

FIRMIN. (*cicho*)

Zobaczemy.

DORLIS. (*do Firmina*) *

Właśnie cię szukamy, aby ci podziękować za twoją usługę. Wszystko idzie dobrze; mój wuj kończy list do p. St. Firmin, zniewalający go do zrzeczenia się ręki pani Darmincourt... Wpaa rolę swoją odegrałeś przewybornie! a teraz, nie chcąc nadużywać jego czasu, jego grzeczności, jeżeli interesa wzywają go do Paryża, możesz odjechać kiedy ci się podoba.

F I R M I N.

Czy tak pan sądzisz? po takiej radości, po uniesieniach tak naturalnych, które okazałcm ujrawszy znowu moją żonę, otworzyłyby się oczy jego wujewi, gdybym przynajmniej noc nie przepędził w zamku.

D O R L I S.

Wymyśl jaki nagły interes, który cię zmusza udać się do Paryża, tylko na jeden wieczór; powiedz że weksle do zapłacenia...

F I R M I N.

Weksle do zapłacenia? gdy się wychodzi z niewoli? gdy się powraca z Algieru? Te psy muzułmańskie nie zostawiłyby przy mnie i grosza.

D O R L I S.

Pan lubisz żartować.

Z O F J A.

Przebacz pan, że go tak nagle odsyłamy.

D O R L I S. (*do Zofji*)

Usprawiedliwiasz się przed nim.

Z O F J A.

Trzeba być grzeczną, nie wiemy kto on jest?

D O R L I S.

No! już żart skończony.

F I R M I N.

Umiarkowanie, bardzo proszę. Dwóch kuzynów może się łagodnie porozumieć. Posłuchaj mię, czynię cię moim sędzią: jesteś lubownikiem pięknych kobiet, umiesz oceniać ich przymioty; więc, spojrzysz na nią, spojrzysz, postaw się na mojem miejscu, i powiedz szczerze, czy to podobna, abym opuścił tak piękną żonę w pierwszy dzień mojego ożenienia.

ZOFJA. (*do Dorlisa.*)

Zawsze przyjemny.

F I R M I N.

A potem nie chcę być niegrzecznym. Wszyscy tu przyjęli mię z radością; twój wuj kocha mię z całego serca, już nawet kazał przygotować stół do pikiety, pokazać nasze pokoje, które istotnie bardzo mi się podobały!

D O R L I S.

Wszystko dobrze, ale mów natychmiast z moim wujem w sposób, jaki ci zaleciłem; właśnie nadchodzi.

F I R M I N.

Pan tego chcesz koniecznie? niech i tak będzie, pomówię z nim, ale to cię rozgniewa, to się sprzeciwi twoim zamiarom, ostrzegam.

D O R L I S.

Spiesz się i odjeżdżaj.

F I R M I N.

Zobaczysz pan.

SCENA XVIII.

CIŻ I VERTEUIL.

VERTEUIL, (*do Firmina*)

A co, mój ogród? pewny jestem że zyskał
twoje pochwały.

F I R M I N.

To prawda, kiedy pan pisałeś...

V E R T E U I L.

Otóż mój list do St. Firmin, spodziewam
się że będziesz z niego zadowolony.

F I R M I N.

Bardzo dobrze, oddany będzie podług a-
dresu. Ale inna rzecz zajmuje mię w tej
chwili.

V E R T E U I L.

Cóż takiego?

D O R L I S. (*do Zofji*)

Przynajmniej że czasu nie traci.

F I R M I N. (*biorąc na stronę p. Vertheuil*)

Szczerze mówiąc, sposób postępowania je-
go siostrzeńca, pobudza mię do wielu zasta-
nowień.

V E R T E U I L.

Zastanowień?

F I R M I N.

Tak jest, i to bardzo smutnych. Czy widzisz go pan obok mojej żony? czy uważasz dobrze ich spojrzenia? Do kata! nie jestem wcale zazdrosnym, ale bardzo nieprzyjemnie...

V E R T E U I L.

Masz słuszość, lecz to tylko płochosć, żart...

F I R M I N.

Chcę temu wierzyć, jednakże tak jej nie odstępuję, żem jeszcze ani jednej minuty nie mógł z nią sam na sam pomówić.

V E R T E U I L. (n. s.)

O nic dobrego! (*głośno*) Bądź spokojnym, wyprowadzę go i natrę mu porządnie uszu.

F I R M I N.

Uczynisz mi wielką przyjemność, pomimo mojej filozofji, mam tę słabość, że jestem bardzo delikatnym w pewnym względzie.

V E R T E U I L.

. Będiesz kontent ze mnie, (*do Dorlisa*) panie siostrzeńcze!

D O R L I S.

Co rozkażesz mój wuju?

V E R T E U I L.

Pójdź za mną.

D O R L I S.

Jakto?

V E R T E U I L.

Mam ci kilka słów powiedzieć.

D O R L I S.

I tu możnaby...

V E R T E U I L.

Eh nie, nie, zostawmy ich oboje, niech się nagadają do woli. (*cicho*) Ty trzpiocie, pu-
sta głowo!

D O R L I S.

Ale...

V E R T E U I L. (*wyprowadzając go*)

Eh pójdźże, mówię ci...

D O R L I S.

Mój wuju... Ale on...

V E R T E U I L.

Bardzo proszę... bez oporu. (*wychodzą*)

SCENA XIX.

Z O F J A, St. F I R M I N.

Z O F J A.

Cóż to znaczy, mości panie?

F I R M I N.

To znaczy, że chciałem z panią mieć oso-
bną rozmowę.

Z O F J A.

Jakiż powód?

F I R M I N.

Po tak długim rozłączeniu, dwoje młodych małżonków ma sobie tyle powiedzieć, tylu skrytości zwierzyć się...

Z O F J A.

Mości panie...

F I R M I N.

Bądź pani bez obawy, znajdując się w obecności takiego jak ja męża...

Z O F J A. (*śmiejąc się*)

Pan zbyt dobrym jesteś w istocie.

F I R M I N.

No zacznijmy od zwierzenia się. Młody kuzyn?...

Z O F J A.

Kocham go z całego serca.

F I R M I N.

Przyjemne wyznanie dla męża!

Z O F J A.

Ale pan byłeś nieboszczykiem.

F I R M I N.

Ah, prawda. Jednakże zdarza się często, że nie jedna zapomina o tem, że jej mąż jeszcze żyje. Ale ten pan St. Firmin z którym cię pani połączyć chciano.

Z O F J A.

St. Firmin? nie cierpię go. To ma być nie-najlepszy człowiek.

F I R M I N.

Co za uprzedzenie! Pani go nigdy nie widziałaś;

Z O F J A.

Któż mu to powiedział?

F I R M I N.

Nie znamże ja wszystkich skrytości pa-ni? i to właśnie daje mi przewagę nad tymi którzy mię chcą oddalić. Międynamimówiąc, pani powinnaś, mię cokolwiek oszczędzać. Je-stem tu uważany za istotnego Darmincourt; wolno mi użyć wszelkich praw nad najpiękniejszą kobietą w świecie; w każdej godzinie, co chwila, mogę zażądać sam na sam rozmowy, przyznałaś, mię za twojego pana i męża. Umiem wdzięki twoje oceniać równie jak pan Dorlis i na honor...

Z O F J A.

Dosyć tego mości panie, zadaleko żart po-suwasz. Gdyby słuchano moich przełożeń, nie byłbyś pan tutaj; rola jego już się skończyła. Zegnam.

FIRMIN. (z żywością aż do końca sceny n. s.)

Odmieńmy baterję. (głośno) Ah, przez li-
tość zatrzymaj się. Pani rozkazuje, dobrze
opuszczam rolę nie dla mnie przeznaczoną;
odgadłaś pani, że nie jestem czem się być
wydaję...

Z O F J A.

I któż pan jesteś?

F I R M I N.

Człowiekiem który cię uwielbia, kochankiem
przebrany.

ZOFJA. (do siebie)

Byłam tego pewną,

FIRMIN. (n. s.)

Uwierzyła. (głośno) Zeszłej zimy, widzia-
łem cię pani w Paryżu, w liczniem towarzy-
stwie; od téj chwili miłość najgorętsza zajęła
mą duszę; dopytywałem się starannie o two-
je mieszkanie, szczególny wypadek podaje mi
sposób ukazania się w tym domu, korzystam
z niego, widzę cię znowu, przyciskam twoją rękę
do moich ust: a miłość podwaja się we mnie.
Jeżeli ci się nie mogę podobać, chcę od-
dychać témże samém co i Ty, pani, powietrzem,
chcę codziennie przekonywać cię o mojem

przywiązaniu. Oh, tak, jużem się namyślił, zostanę tu albo pod tytułem kochanka tkliwego pełnego szacunku, albo męża, wybieraj pani?...

Z O F J A.

Co slysze!...

FIRMIN. (*na kolanach*)

Boska Zofjo! przyjmij moje prośby, albo umrę przy nogach twoich.

SCENA XX.

CIŻ, DORLIS, VERTEUIL.

DORLIS. (*ciągnąc p. de Verteuil*)

Mój wuju kochany wujaszku... Czy widzisz pan dobrodziej?..

V E R T E U I L.

Cóż?

D O R L I S.

Jegomość u nóg..

V E R T E U I L..

Cóż tobie do tego?...

D O R L I S.

W twoim domu wujaszku?

V E R T E U I L.

No, wszakże to mąż, rzadki przykład.

D O R L I S.

To zgroza!

V E R T E U I L.

Będziesz ty cicho!

D ' O R L I S.

Nie zniosę...

Z O F J A.

Posłuchaj mię...

D O R L I S.

Nie, mościa pani, nie... co za śmiałość!

V E R T E U I L.

Ciszej, bardzo proszę.

FIRMIN. (*do p. Verteuil*)

Widzisz pan, że moje podejrzenia sprawdzają się. Ta miłość jawnie się okazuje, ten gniew, ta zazdrość, spojrzenia zawzięte, są dostatecznym dowodem...

V E R T E U I L.

Więcej zimnej krwi, kochany Darmincourt.

F I R M I N.

Wiem, ile ci panie winienem uszanowania, i dla tego dowiesz się co zamierzam uczynić, hola! jest tam kto?

SCENA XIII.

CIŻ I SEBASTJAN.

S E B A S T J A N.

Co pan rozkaże?

F I R M I N.

Powóz!

S E B A S T J A N.

Już czeka, Lafleur kazał...

F I R M I N.

Lafleur? niech tu przyjdzie natychmiast.

S E B A S T J A N.

Dobrze panie. (*wychodząc*) Jest tu jakiś porządny galimatjas.

SCENA XXIII.

CIŻ prócz SEBASTJANA.

V E R T E U I L.

Powóz? na co?

F I R M I N.

Wyjeżdżam natychmiast.

D O R L I S.

Spodziewam się...

FIRMIN. (*do Zofji*)

Moja żono, uściskaj twojego stryja, i siadaj ze mną do powozu.

D O R L I S.

Co słyszę!

VERTEUL. (*w gniewie do Dorlisa*)

Widzisz niegodziwy, jaki nieład z twojej przyczyny.

FIRMIN. (*biorąc rękę Zofji*)

Pójdźmy kochana żono!

Tom VII.

D O R L I S.

Ha! tego już nie wytrzymam. Dowiedz się mój wuju: ten pan nie jest wcale Darmincourt; jest to mąż zmyślony przezemnie, w celu zapobieżenia przybyciu pana St. Firmin. Teraz pozwól mu wuju jechać z Zofją.

V E R T E U I L.

Co mówisz?

D O R L I S.

Szczerą prawdę. Zasłużyłem na cały twój gniew kochany wuju.

F I R M I N.

Teraz zostaję. Zobaczymy wyjaśnienie.

V E R T E U I L.

Co za układ piekielny! w głowie mi się przewraca. Domyślałem się tego poranku że to jest jakieś podejście, i moja przezorność, przenikliwość... Ale Lafleur, Lafleur, który mi powiedział...

SCENA XXIV.

VERTEUIL, St. FIRMIN. DORLIS, ZOFJA, LA-
FLEUR SEBASTJAN.

L A F L E U R.

Jestem panie.

VERTEUIL. (*biorąc go za kołnierz*)

Pójdź, pójdź wierny sługo, powiedz, kto jest ten jegomość?

L A F L E U R.

Alboż pan zapomniał?

V E R T E U I L.

Mów!

L A F L E U R.

Nieboszczyk, pan Darmincourt.

D O R L I S.

Porzuć kłamstwo, wszystko wyznałem.

L A F L E U R.

Cóż takiego?

D O R L I S.

Że jegomość jest jeden ztwoich znajomych.

L A F L E U R.

Niech mię kaci porwą, jeżeli go znam.

Z O F J A.

Jegomość jest kochanek przebrany.

L A F L E U R. (*cicho*)

A! niech go tam!..

V E R T E U I L.

Darmincourt, mąż zmyślony, kochanek przebrany.. czy wyjaśnisz mi wszystko, ty łotrze, oszuście?..

L A F L E U R.

Niech mię pan nazywa czem chce, bije, wypędzi; ale niech pozna przynajmniej dobroć mojego serca i szlachetność moich zamiarów: widzę tych dwoje ludzi w rozpacz, kochają się, pan chcesz ich rozłączyć i zmusić

skłonność pani, wiem jakie smutne skutki pociągają za sobą podobne małżeństwa; sama nawet moralność, nakazywała mi zerwać ten układ. Więc przez litość dla tych czułych kochanków i przez miłość cnoty, zostałem przestępcą. Teraz, ukarż mię panie, jeżeli masz odwagę; nie będę się żalił: pięknie bowiem zostać ofiarą tkliwości serca i honoru.

F I R M I N.

Ten biedny Lafleur, ja wstawiam się za nim, on mię przyjął tak uprzejmie.

V E R T E U I L.

Ej do kroćset katów, pan co się za nim wstawiasz, powieszli nam nakoniec kto jesteś? czy nie masz nazwiska?

F I R M I N.

Przeciwnie, mam ich trzy czy cztery, Lafleur nazywa mię Darmincourt, pan Dorlis zmyślonym mężem, pani, przebrany kochankiem; czekam aż się zgodzą, bo nikomu nie chcę się sprzeciwiać. Będę czém tylko zażądatają, mam najlepszy charakter w świecie.

SEBASTJAN. (*n. s.*)

Język mnie świerzbi...

V E R T E U I L

Sprzysięgli się przeciw panu St. Firmin.

Z O F J A.

Ah, mój stryju nie mówiny już o nim, błagam cię, nie przymuszaj mię abym poszła za niego. Powiadają: że to człowiek lekkomyślny, oddany rozpucie, przysięgający wszystkim kobietom, który będzie bardzo złym mężem, i którego trzpiotostwo, niestałość, zbytki...

FIRMIN. (*przerywając*)

Ah, przez litość więcej miłości bliźniego; znam bardzo dobrze tego biednego St. Firmin. Portret jego skreślony przez panią jest tylko portretem wyobraźni i urojenia; mogę skreślić rzeczywistszy i prawdziwszy; podług pani St. Firmin lubi pięknym twarzyczkom składać fałszywe przysięgi, ale kto wie, może używa prawa odwetu. Lubi wydatki, jednakże nie sięgające rozrzutności, to zdaje mi się lepiej jak być skąpym. Jest nieco płochym, pani byłabyś go ustoliła. Ale, jeżeli nie może pozyskać jej względów, nie chce bynajmniej stać się sprawcą jej nieszczęścia, umie on czuć cierpienia miłości, i aby ci pani dowieść żeś go niesprawiedliwie sądziła, on to łączy cię z przedmiotem twoich życzeń.

WSZYSCY. (*prócz Sebastjana*)

St. Firmin!

SEBASTJAN. (*z uniesieniem*)

Ja tylko sam o tém wiedziałem!

L A F L E U R.

Oh niegodziwy!

VERTEUIL. (*śmiejąc się*)

On, St. Firmin, ah to przewyborny wypadek, ha! ha! ha!

LAFLEUR. (*śmiejąc się z przymusem*)

Nieprawdaż panie ha! ha! ha!

S E B A S T J A N.

Jak on się serdecznie śmieje.

DORLIS, (*do Firmin*)

Jesteśmy zawstydzeni!...

Z O F J A.

Jego wspaniałomyślność...

V E R T E U I L.

Więc się pan wyrzekasz ręki mojej Zofij?

F I R M I N.

Nie posiadam jej serca, a chociaż trzpiot, mam jednakże rozsądek. Pan powrócisz mi zakład.

V E R T E U I L.

Natychmiast; lecz proces?

F I R M I N.

Proces? będziemy o niego grać w pikietę.

V E R T E U I L.

Kiedy tak, wygrałem. Ale ten hultaj Lafleur...

L A F L E U R

Panie dobrodzieju, kiedy wszyscy zadowoleni, mamże ja tylko być smutnym?...

V E R T E U I L.

Masz szczęście, że się wszystko tak zakończyło, w przeciwnym bowiem przypadku... kto wie?..

L A F L E U R.

Znam serce pańskie... jednak przyrzekam że odtąd już nigdy mężów po śmierci do życia przywracać nie będę; nie każdy bowiem byłby podobnym do pana St. Firmin.

KONIEC KOMEDJI I TOMU SIÓDMEGO.



**INSTYTUT
BADAN LITERACKICH PAN**


Biblioteka

ul. Nowy Świat Nr 72

00-330 Warszawa

Tel. 26-68-63, 26-52-31 w. 42





F
1204
7.